PŁOMYK 23 1982

**Zamiast
własnych życzeń
składamy Wam
– z myślą o roku 1983 –
życzenia wyrażone
w wierszu napisanym
przez K.I. Gałczyńskiego
przed 35 laty...
Trzeba przyznać, że wcale
nie straciły aktualności!**

I
Żeby ludzie w tym kraju
byli punktualni;
żeby Polak był mrówką,
a nie pawiem;
żeby zegarek mrówki
chodził punktualnie
i mrówka żeby szczyciła się,
że jest kółkiem.

II
Żeby z roku na rok
malała liczba geniuszów,
zaś rosła robota
kupowana nietanio;
żeby nawet najsłabszy,
najnieudolniejszy
miał chleb na stole,
a w doniczce geranium.

III
Żeby żaden łotr lub dureń
nie bredził o wojnie,
a polski mózg, żeby przestał
być mistycznym kalafiorem;
żeby mężczyźni mogli
pracować spokojnie,
a kobiety gadać
długo i bez sensu wieczorem.

IV
Żeby kule były tylko na zające
i tylko do sznyclów noże.
O te rzeczy
wznoszę ramiona uparte
i modły gorące,
o te rzeczy
modlę się,
Bracie Boże.

KONSTANTY ILDEFONS
GAŁCZYŃSKI
(1947 r)

NA OKŁADCE:
Aniołek z krakowskiego
Ołtarza Wita Stwosza
(do art. na str. 12–17)

12-letnia Joanna Grzybowska ze Szkoły Podstawowej nr 11 w Słupsku otrzymała jedną z głównych nagród w konkursie rysunkowym poświęconym pamięci Janusza Korczaka. Wystawa nagrodzonych rysunków odbyła się w warszawskim Pałacu Młodzieży.

Międzynarodowe Jury Sztuki Filatelistycznej uznało za najładniejszy ze znaczków wydanych w 1981 r. poświęconych propagandzie ochrony środowiska polski znaczek-bloczek zaprojektowany przez Stefana Mstockiego. Na znaczku widzimy panoramę Krakowa, a obok cytat z poematu „Wisła" W. Broniewskiego. Jest to już drugie wyróżnienie Poczty Polskiej za propagandę ochrony środowiska. W 1978 r. nagrodę taką przyznano 6-znaczkowej serii „Drzewa" (wg projektu Janusza Towpika).

Obfita były tegoroczne „jabłkowe żniwa". Urodzaj tych owoców przekroczył wszelkie spodziewania. Na zdjęciu: sterty jabłek w Zakładach Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Tarczynie.

Stocznia im. Komuny Paryskiej w Gdyni ma już 60-letnią historię. Jej początki sięgają roku 1922, kiedy rozpoczynano budowę gdyńskiego portu. Duże jednostki zaczęto tutaj budować dopiero po wojnie, szczególnie w ciągu ostatnich 20 lat, kiedy uruchomiono dwa suche doki. Ogółem zwodowano już ponad 400 statków o łącznej nośności 4 mln ton. Największy z nich miał 116 tys. DWT.

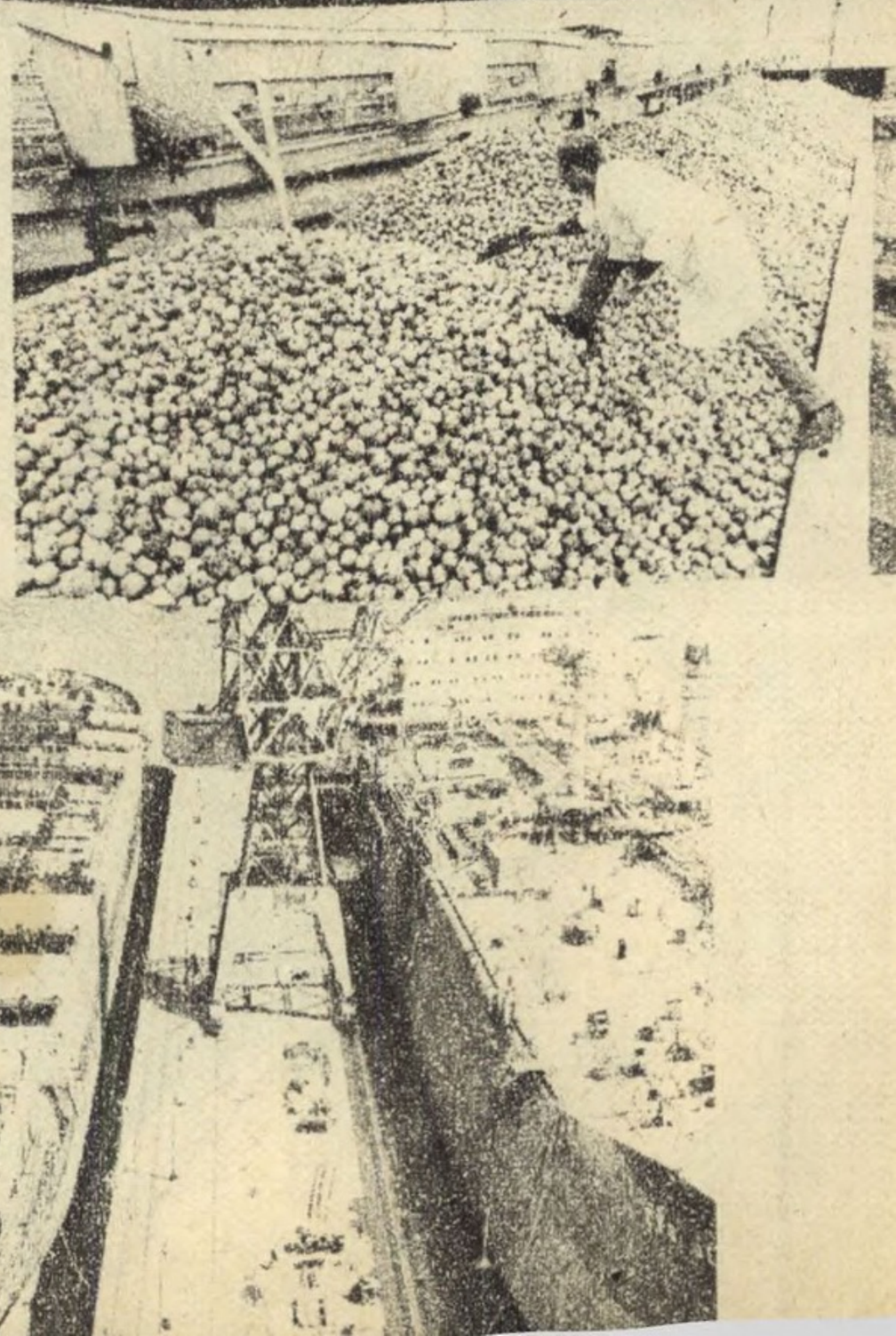

co słychać

NIESPOKOJNY POKÓJ

Czas, jaki upłynął od zakończenia drugiej wojny światowej w 1945 r. uważamy za okres pokoju. W rzeczywistości jednak w ciągu tych 37 lat nie było ani jednego dnia ogólnoświatowego pokoju. W tym czasie prowadzono działania zbrojne w ponad stu krajach, w najróżniejszych miejscach kuli ziemskiej. Naliczono blisko 130 konfliktów zbrojnych, w których ogółem zginęło lub zostało rannych więcej starców, kobiet i dzieci niż walczących żołnierzy lub partyzantów. Były to zarówno głośne i prowadzone na dużą skalę wojny, np. w Korei, w Wietnamie, jak również mniej głośne, a przecież krwawe i okrutne walki w Czadzie czy na Saharze Zachodniej. Ludzie giną także w wyniku licznych zamachów terrorystycznych, które są swoistą wojną wewnętrzną we Włoszech, w Hiszpanii, w Irlandii Północnej.
Szczególnie duże nasilenie konfliktów zbrojnych było w 1982 r. Wybuchła argentyńsko-angielska wojna o Falklandy, przez cały rok trwała wojna iracko-irańska, przynosząc wielkie straty obu walczącym stronom, trwały też wewnętrzne walki w Salwadorze i w Kampuczy. Wojska izraelskie wtargnęły do Libanu, obległy Bejrut, a boje o to miasto pociągnęły za sobą ogromne straty wśród ludności cywilnej.
Żyjąc w czasach, które uważamy za pokojowe, nie zdajemy sobie sprawy, że przez ostatnie 37 lat „pokoju" zginęło na świecie ok. 36 milionów ludzi, czyli tylko o jedną trzecią mniej niż w czasie II wojny światowej. Jeżeli tak dziś na świecie wygląda „pokój", to jakby mogła wyglądać wojna?!

WIĘCEJ CZY MNIEJ ANALFABETÓW?

Według danych, ogłoszonych w ubiegłym roku przez UNESCO, stopniowo zmniejsza się w skali światowej odsetek analfabetów – ludzi dorosłych, którzy nie opanowali sztuki czytania i pisania. Obecnie analfabeci stanowią ok. 29 procent całkowitej liczby dorosłej ludności świata. Ale likwidowanie analfabetyzmu nie nadąża za przyrostem ludności, tak więc liczba analfabetów zwiększa się. W 1980 r. było ich 814 mln, a jeśli doliczyć do tego dzieci w wieku szkolnym, które nie mają dostępu do nauki, to można powiedzieć, że w naszym „nowoczesnym" świecie żyje prawie miliardowa rzesza analfabetów.

SYCI I GŁODNI

Co pewien czas świat alarmują wiadomości o tym, że w różnych krajach Azji i Afryki szaleją klęski powodzi, suszy czy nieurodzaju. Prowadzi to do klęski głodu. Organizacje międzynarodowe inicjują wówczas akcje pomocy, by ratować od śmierci mieszkańców dotkniętych nieszczęściem. Przez jakiś czas prasa całego świata zajmuje się kolejną klęską żywiołową po czym sprawa przycicha.
Mniej, natomiast, elektryzują ludzi informacje o tym, że w wielu krajach świata żywności brakuje na co dzień, że głód panuje tam stale. Oficjalna lista ONZ, klasyfikująca jedynie najostrzejsze przypadki, obejmuje aż 31 państw, dla których niezbędna jest stała pomoc żywnościowa.
Zaskakująco na tle tych informacji wyglądają dane FAO (Organizacji do Spraw Wyżywienia i Rolnictwa), według których roczne światowe dostawy żywności o 10% przewyższają biologiczne potrzeby całej ludności naszego globu. Skąd więc na świecie głód? Przyczyna jest bardzo zwyczajna – żywność jest po prostu coraz droższa, bo i jej produkcja też coraz więcej kosztuje. A więc bogaci mają w nadmiarze, zaś dla biednych brak. Najwięcej żywności wytwarzają te kraje, które stać na nowoczesne maszyny rolnicze, na zwiększanie nawożenia, prowadzenie badań naukowych w dziedzinie rolnictwa. Często to nawet i te zabiegi nie wystarczają. Dlatego rządy wielu rozwiniętych państw (np. Francji czy RFN) specjalnie finansują produkcję swojego nowoczesnego rolnictwa. Tymczasem kraje biedne, często przeludnione, nie mają pieniędzy na unowocześnianie i podnoszenie produkcji rolniczej i przetwórstwa produktów rolnych. Muszą żywność dokupywać. Nie każde państwo może sobie na to pozwolić. Taka jest przyczyna wciąż panującego głodu w Górnej Wolcie w Togo i wielu innych krajach Trzeciego Świata. Gospodarcza mapa świata podzieliła się na dwie części – tych, co mają przemysł lub surowce oraz żywność, i tych, co nie mają nic.
Głodującym śpieszą z pomocą różne międzynarodowe organizacje, opracowano specjalny światowy Program Wyżywienia; zgodnie z nim rozdaje się w dotkniętych głodem krajach żywność w zamian za masowe, proste prace, wykonywane głównie na rzecz miejscowego rolnictwa, jak nawadnianie, budowa kanałów, powstrzymywanie erozji gleby przez sadzenie pasów leśnych. Tak było w Indonezji, Kampuczy, Somali czy w Lesotho. Podobne metody rozwijania rolnictwa głodujących krajów przy pomocy międzynarodowej, są jedyną skuteczną drogą prowadzącą do poprawy sytuacji. Lecz środki finansowe posiadane przez FAO i inne organizacje są zbyt skromne. Klęskę głodu można zlikwidować jedynie przy finansowej i materiałowej pomocy państw wysoko rozwiniętych. Ich rządy jednak zajmują się przede wszystkim własnymi problemami politycznymi i gospodarczymi. I dlatego problem głodu na świecie pewnie jeszcze długo pozostanie nie rozwiązany. Nadal są kraje, w których wiele ludzi, szczególnie małych dzieci, umiera z niedostatku żywności...

CO SŁYCHAĆ W HONGKONGU?

Niewiele już prawdziwych pereł pozostało w koronie królestwa brytyjskiego. Bogate zamorskie posiadłości od niego poodpadały; przemieniły się w niepodległe państwa. Jedną z ostatnich, a ostatnią naprawdę wspaniałą posiadłością pozostałą z dawnego iimperium brytyjskiego jest Hongkong, wielkie miasto i port położone na południowym wybrzeżu Chin.
Zajmuje zaledwie 1000 km², a liczy aż ponad 5 mln mieszkańców. Status tej niewielkiej, lecz bardzo bogatej kolonii określa się jako „terytorium chińskie w posiadaniu Wielkiej Brytanii", zostało bowiem wydzierżawione Imperium Brytyjskiemu przez Chiny jeszcze w XIX wieku. Ustalony wówczas okres dzierżawy wynosił 99 lat, z możliwością jego przedłużenia. Wątpliwe jednak, by dziś, kiedy okres ten dobiega końca, rząd Chińskiej Republiki Ludowej zgodził się na przedłużenie umowy.
Są jednak względy, które przemawiają za utrzymaniem obecnego stanu. Dzisiejszy status Hongkongu daje Chinom wielkie korzyści finansowe, wygodny dostęp do światowych rynków przemysłowych i kredytowych. Tamtejsze firmy handlowe to wielcy pośrednicy wymiany towarowej między Chinami i całym światem. Przez Hongkong wpływa do kasy rządu chińskiego ok. 30% zysków chińskiego handlu zagranicznego. Ale przecież Chiny starają się uchodzić na arenie międzynarodowej za rzecznika walki z kolonializmem. Uważają się za opiekuna państw Trzeciego Świata. W takiej sytuacji trudno tolerować na własnym terytorium brytyjską kolonię. Dodatkowo komplikuje sytuację to, iż według przeprowadzonych sondaży 9 na 10 mieszkańców Hongkongu opowiada się za utrzymaniem dotychczasowego statusu miasta. Powody tego są proste: standard życiowy w Hongkongu jest dużo wyższy niż w Chinach. Dyplomacja brytyjska już rozpoczęła starania o przedłużenie dzierżawy Hongkongu. Chińczycy postawili jako wstępny warunek podwyższenie opłaty „dzierżawnej". Jaka będzie przyszłość tej ostatniej perły dawnego brytyjskiego imperium, zobaczymy, gdy wygaśnie poprzednia umowa dzierżawna, czyli najpóźniej za 15 lat. *(aż)*

KIEŁ MORSA

Fragment z książki „Czy foka jest biała?"

CZESŁAW CENTKIEWICZ

Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, zaroiło się wokół „Isfiell" od morsów. Do pierwszej sztuki, śpiącej twardo na niewielkiej krze, udało się nam podsunąć tak blisko, że niewiele brakowało, a uderzylibyśmy dziobem w tylne płetwy olbrzyma. Po pierwszym strzale Kristian z całych sił miota harpunem. Mors błyskawicznym ruchem zsuwa się do morza, obryzgując nas fontanną wody. Linka harpuna rozwija się z olbrzymią szybkością. Ruszamy za zwierzęciem. Gdy tylko potworny łeb ukazuje się nad wodą – strzelamy. Ciężko ranny, oszołomiony mors zawraca w pewnej chwili i zaczyna płynąć wprost na nas. Ostatnie strzały dajemy celując wzdłuż burty – niewiele brakowało, a dostałby się pod statek.

Na cienkiej lince harpunniczej utrzymujemy to olbrzymie cielsko tuż pod powierzchnią wody. Petersen zsuwa się po trapie, ostrym nożem nie bez trudu nacina skórę na karku i wbija w to miejsce hak. Za pomocą silnika wciągamy zdobycz na pokład. Powoli wyłania się nad burtą ciemnobrązowe olbrzymie cielsko, pokryte rzadką sierścią. Miejscami skóra jest naga, poznaczona bliznami po kłach lub skaleczeniami o ostre krawędzie lodowych pól. Prostokątny łeb uzbrojony jest w dwa kły prawie czterdziestocentymetrowej długości. Górną wargę pokrywają długie, twarde wąsiska, które pomagają zapewne w szukaniu jedzenia w mule przydennym. Pokład zadrżał, kiedy zwaliła się na deski ta tysiąckilogramowa góra mięsa. A przecież to wcale nie największa sztuka. Dorosły mors dochodzi do dwu ton wagi i pięciu metrów długości. Po kłach, które są zbyt cienkie w stosunku do długości, moi towarzysze poznają od razu, że to samica, mniejsza i lżejsza od swego wspaniałego małżonka. Objaśniają mi, że skóra samicy jest cieńsza. Ze zdumieniem widzę, że ta „delikatniejsza" skóra morsicy ma prawie dwadzieścia milimetrów grubości.

Nie mam czasu przypatrywać się oprawianiu, bo wokół statku co chwila wyłaniają się z morza kwadratowe łby morsów, uzbrojone w większe lub mniejsze kły. Z szumem wyrzucają z płuc zużyte powietrze, rozbryzgując wokół fontanny wody. Potem chwilę odpoczywają, spokojnie leżąc na wodzie i – nabrawszy świeżego powietrza – nurkują. Przez moment widać ich grzbiet, a następnie sterczącą do góry tylną płetwę. Morsy pod wodą pozostają, jak mi się wydaje, od trzech do pięciu minut, jednak Kristian, który jest największym na „Isfiell" znawcą tych spraw, zapewnia, że w razie niebezpieczeństwa mogą przebywać nawet dłużej. Przestraszone, nurkują z błyskawiczną szybkością. Po prostu toną jak kamień.

Na pobliską krę wpełza powoli jeden duży osobnik z imponującymi kłami. Pięknością nie grzeszy, co tu dużo mówić. Brzydszy, potworniejszy od morsa jest chyba tylko jego daleki kuzyn z południowej półkuli Ziemi, zwany słoniem morskim. Przypatruję się ciekawie wspaniałej bieli potężnych kłów, które służą między innymi do dźwigania cielska na strome, często skaliste brzegi lodowych pól. Kłami posługuje się mors jak hakami: wbija je w lód, a potem podciąga w górę setki kilogramów własnego cielska. Może tak na nich wisieć kilka, a nawet – jak twierdzi Kristian – kilkanaście minut. Kły służą morsowi ponadto do obrony lub do ataku. Groźna to broń. Niemało strachu najadł się mój ulubiony bohater, Fridtjöf Nansen, kiedy jeden z takich olbrzymów, wypływając na powierzchnię morza, otarł się przypadkiem o jego kajak. Zachodziła obawa, że kłami przedziurawi brezentowe dno.

Rzucam aparat fotograficzny na zwój lin i łapię karabinek. Ale szyper, ku memu zdziwieniu, wydaje komendę:

– Zatrzymać silnik!

Kristian, stojący koło mnie, mówi:

– Już ja wiem, o co mu chodzi. Nie mamy się co śpieszyć, będziemy ich tu mieli więcej. Zostaw karabinek i weź lepiej lornetkę. Zobaczysz, jakie towarzyskie są te zwierzęta.

Miał rację. Nie upłynęło pięć minut, gdy ze wszystkich stron powoli zaczęły nadpływać inne morsy i układać się obok siebie na krze. Aż dziwne, że tłoczyły się tak w jednym miejscu, gdy o kilkanaście metrów mają inne, nie mniej przytulne lodowe leże. Po pół godzinie było

ich tak dużo, że nowo przybywające kładły się na grzbietach poprzedników, które nie zawsze chętnie na to się godziły. Co chwila któryś podnosił się na przednich płetwach i kłami z całych sił uderzał natrętnego sąsiada. Pobity z rykiem ustępował, ale cofając się rozdrażniał inne, które reagowały na to ciosami kłów. Parokrotnie się zdarzyło, że na dwa bijące się morsy rzucały się pozostałe, turbując oba lub jednego z nich, i w ten sposób likwidując szybko zatarg.

Obserwuję to wszystko fragmentami, moi towarzysze wyrywają mi ciągle lornetkę. Kristian dalej popisuje się swoją wiedzą:

– Stare pozwalają chodzić po swoich grzbietach, tylko dzieciom i młodzieży, nie zwracając na to najmniejszej uwagi.

Gdy morsy w końcu ułożyły się wygodnie na krze i poczęły zapadać w drzemkę, szyper przerwał nam obserwację, każąc przygotować obydwie szalupy.

W południe słońce zaczęło cieplej przygrzewać, na krze zapanował zupełny spokój. Opuściliśmy więc łodzie i popłynęliśmy z dwóch stron atakować krę. W miarę jak podpływamy, coraz bardziej wzmaga się niepokój wśród stada morsów. Prychają groźnie, ale nie zdradzają jeszcze najmniejszej chęci opuszczenia legowiska. Widzę, jak niektóre z nich unoszą się na przednich płetwach i z natężeniem patrzą w naszą stronę. Przekrwione, bez wyrazu, jakby szklane oczy w tych olbrzymich łbach sprawiają niesamowite wrażenie.

W milczeniu i bez ruchu stoję wraz z Petersenem na dziobie łodzi. Towarzysze nasi bezszelestnie zagarniają wodę wiosłami. W powietrzu rozlega się jedno, drugie suche chłaśnięcie wystrzału. Strzelamy i my. Staram się celować spokojnie i jak najdokładniej. Ogłuszający ryk jest odpowiedzią na nasze strzały. (...)

Woda wokół kry pieni się od uderzeń płetw rozszalałych zwierząt. Przy naszej łodzi coraz częściej wytryskają z wody brunatne grzbiety i głowy. Łódź przechyla się gwałtownie. Staczam się na Petersena. Obaj jednocześnie odwracamy głowy i patrzymy za siebie. Nad lewą burtą widzę olbrzymi łeb ze szklanymi oczyma i oślepiającą biel kłów wczepionych w brzeg łodzi. Wioślarze krzyczą i odpychają zwierzę wiosłami. Łódź przechyla się coraz bardziej. W niewygodnej pozycji repetuję broń, prawie jednocześnie z Petersenem. Jeden z kłów pęka od uderzenia kuli i pada na dno łodzi. Zwierzę zanurza się z rykiem i przez chwilę jeszcze dochodzi do nas jego głos, stłumiony przez warstwę wody.

Morsów wokół nas coraz więcej. Otacza nas wieniec przedziwnych apokaliptycznych bestii, jakie przyśnić się mogą w nocnych koszmarach.

– Wiosłować kierunek statek! – drze się Petersen.

– Któreś z tych bydląt może przedziurawić kłem dno lub podpłynąć pod nas i wysypać nas wszystkich do wody, tak samo przypadkowo i bezmyślnie, jak to zrobił ten, co to chciał wejść do łodzi – spokojniej dodaje po chwili.

Szyper obserwuje całą batalię z bocianiego gniazda i kieruje ku nam „Isfiell". Nigdy chyba tak szybko jak teraz nie znalazłem się na pokładzie. Oczom moim przedstawia się dziwny widok; na krę wdrapało się z powrotem kilka morsów i usiłują kłami zepchnąć do wody znieruchomiałe cielska towarzyszy. Największą energią wśród nich wyróżnia się olbrzymia, wspaniała bestia, pod którą ugina się kra.

Obaj z Petersenem bierzemy morsa na cel. Po chwili już się nie rusza. Inne z rykiem spełzają do wody i spłoszone szumem śruby nurkują w głębię.

Druga szalupa jest dość daleko, widać, jak szybko płynie w naszą stronę. Dobija wreszcie. Znajdujemy się znów od dłuższej chwili na krze, na którą lada moment może wspiąć się któryś z morsów(...)

Dopiero nad wieczorem cała nasza zdobycz jest na pokładzie. Kok zdążył już przygotować pieczeń z morsa, częstuje nas nią na kolację, ale wodzi niepewnym spojrzeniem po naszych twarzach. Zrobił, co mógł, nic jednak nie poradzi na to, że mięso jest twarde, włókniste i mocno zalatuje tranem. Skąd się ta przykra woń bierze, tego nie wiem, bo ten olbrzym morski, którego szanuje nawet biały niedźwiedź, władca arktycznych pustyni, karmi się nie rybami jak inne foki, lecz raczkami, małżami, skorupiakami. Wygrzebuje je pracowicie z mułu dennego, rzecz śmieszna, za pomocą tych właśnie groźnych kłów. Co ciekawsze, zjadając różne małże, mors starannie rozłupuje skorupki i odrzuca je wargami, połykając jedynie „mięso".

Przy stole w mesie łowcy są zadowoleni, weseli i rozmowni. Korzystam z tego i wyciągam ich na opowiadania o morsach.

– Dziesięć lat temu polowałem na morsy przy brzegach Ziemi Franciszka Józefa – mówi Kristian pykając z fajki. – Natrafiliśmy raz na krę, tak jak i dzisiejszą, zatłoczoną tymi zwierzętami. Po zabiciu paru sztuk zeszliśmy na lód, wciągając za sobą łódź. Ale morsy, odgonione przed chwilą strzałami, postanowiły widać wrócić po swych towarzyszy; rozpoczęły oblężenie, prawdziwy atak na naszą krę. Nie zważając na strzały, z rykiem pchały się naprzód całym stadem. Amunicja już się nam kończyła, a ilość oblegających zwierząt zwiększała się ciągle – przybywały widać z daleka, zwabione rykiem towarzyszy. Źle już było z nami, wydawało się, że nie ma żadnego ratunku. Na szczęście Knut wpadł na pomysł, żeby na głowy rozszalałych potworów wylać cały zapas nafty, jaką mieliśmy do prymusów. Ten pomysł, dyktowany rozpaczą, okazał się wspaniały. Morsy uciekły co sił w płetwach, jakby je pochłonęło morze.

Wszyscy zgodnie stwierdzają, że te zwierzęta wiedzą i czują, co to jest „duch drużyny". Nieraz z pola walki uprowadzały rannych towarzyszy. Pięć, sześć morsów otaczało rannego, płynęło obok niego czy pod nim i odciągało go jak najdalej od pobojowiska. Nie pomagało strzelanie, wszystkie razem jednocześnie dawały nurka pod wodę. (...)

Rozmowę naszą przerywa szyper:

– Morsy morsami, ale dziś jeszcze musicie zdjąć tłuszcz ze skór i ułożyć je w luku. Trzeba przygotować miejsce dla jutrzejszej zdobyczy. Kristian, słyszysz? – mówi robiąc groźną minę, bo wie, że żadnemu z nas nie chce się ruszyć z miejsca.

W jasnym świetle lamp elektrycznych kolejno podnosimy skóry na dwóch blokach, rozciągając je tuż nad otworem zbiornika z tłuszczem. Specjalnymi skrobaczkami na drążkach zeskrobujemy tłuszcz, który jest rzadki i bardziej podobny do smalcu niż do słoniny. Szyper na oko określa, że z najmniejszej skóry mieliśmy tłuszczu około pięćdziesięciu, z największej – około stu pięćdziesięciu kilogramów.

Skóra w stanie surowym, mimo że bardzo mocna, jest rzadka i miękka, ale podobno po wyprawieniu twardnieje jak deska. Używa się jej głównie na pasy transmisyjne. Najgrubsze, które dochodzą do dwudziestu pięciu milimetrów, rozcina się na dwie lub kilka warstw.

Skóra morsa przypomina mi to jedyne w swoim rodzaju zimowanie Nansena i Johansena zagubionych wśród lodów archipelagu Ziemi Franciszka Józefa. Wielkimi krokami nadchodziła wtedy noc polarna – cóż mogli jej przeciwstawić, prócz odwagi i doświadczenia? Połamane sanie, podziurawione jak sito kajaki, ubranie w strzępach, połatany namiot i lekki śpiwór z resztek wełnianego koca. Musieli za wszelką cenę zbudować dom, schron, lepiankę, pieczarę, coś, co pozwoliłoby im przetrwać najcięższe miesiące zimy. Nikt nigdy w historii nie miał tak „bogatego" wyposażenia do budowy zimowego schronu, jak właśnie Nansen. Połamane narty, kieł morsa przymocowany do drążka bambusowego, zastępujący kilof, i szeroką kość tego zwierzęcia, która spełniała funkcję łopaty. Cóż poza tym? Po dwa silne ramiona, no i... co najważniejsze – dobrze umeblowaną głowę. Wydarta niemal pazurami zamarzniętej ziemi i głazom lepianka-pieczara, utkana pracowicie mchem, piaskiem, kawałkami foczej skóry, była już gotowa. Ale skąd wziąć dach?

– Ze skóry morsa! – zadecydował bez chwili wahania Nansen.

– Co za brednie? Jak ją ściągniesz? Diabelnie wielka, ciężka i twarda – martwił się Johansen. I osłupiał widząc, że po upolowaniu tuż przy brzegu dwu morsów Nansen brodzi po pas w lodowatej wodzie i zabiera się do oprawiania zwierząt.

– Cóż to, nie znasz praw fizyki? W morzu skórę zdejmujemy z łatwością, zwierzę jest przecież lżejsze, patrz, jak łatwo daje się obracać to dwutonowe cielsko. Właź do wody, Johansen, nie namyślaj się, wcale nie jest taka zimna!

Woda była lodowata. Czyż mogła być inna w Oceanie Lodowatym? Praca była wyjątkowo ciężka, ubrania tak przesiąkły krwią i tłuszczem, że nigdy już nie przestały cuchnąć, nogi skostniały, ale pieczara, która tyle miesięcy była dla tych dwu ludzi domem, miała dach... Lekki nie był, skóra ważyła ze dwieście pięćdziesiąt kilogramów.

Zaciekawiony, dotykam twardej szczeciny na grzbiecie morsa, rad, że tyle o tym zwierzęciu czytałem i słyszałem, nim je sam zobaczyłem. I po raz nie wiem który stwierdzam, że podróżować warto tylko wtedy, jeśli się wiele wie o tym, co przyjdzie zobaczyć, zwłaszcza jeżeli podróż jest urzeczywistnieniem marzeń, a nie jakimś przypadkiem.

– Kość z kłów morsa jest prawie tak ceniona, jak słoniowa, i używana do wyrobu przedmiotów przemysłu artystycznego – objaśnia Kristian.

Każdy z łowców dorzuca swoje uwagi. (...)

Słuchając tych opowieści uzbrajam się w notatnik i pióro. Z przyjemnością widzę, że moich łowców to nie tylko nie zniechęca, lecz wprost przeciwnie, podnieca do dalszego opowiadania, uważają przy tym pilnie, czy aby zapisałem wszystko to, o czym mówili.

Kiedy po miesiącu wspólnych polowań nadeszła pora rozstania szyper Moe uroczyście wręcza mi największy, najwspanialszy ze zdobytych kłów morsa. W mlecznej bieli wypolerowanej lodem kości odbija się promień słońca. I żaden z nas obu nie wie w tej pamiętnej chwili, nie może wiedzieć, że nim minie kilkanaście miesięcy, kieł ten wyratuje i mnie, i moich najbliższych od więzienia, od śmierci...

*

...Przeciągły dzwonek, ktoś nie odrywa palca od przycisku, po chwili brutalne walenie. Nie zadaję sobie nawet trudu spytać „kto?". I tak wiem. W otwartych szeroko na oścież drzwiach na wprost piersi widzę dwa otwory luf automatu, trochę poniżej lśniący chromem pistolet. Za nimi zielone mundury.

– *Hände hoch!*[1] – ręka jednego z żołnierzy szybko i wprawnie przesuwa się po moim ubraniu. Bez słowa idziemy z Aliną i matką do pokoju. Obaj esesmani zatrzymują się w progu na szeroko rozstawionych nogach. Gęby zacięte, oczy puste, przypominają do złudzenia oczy morsa. Podoficer chwilę stoi nieruchomo pośrodku pokoju, milczący, z zimną twarzą.

Czujne spojrzenie omiata każdy kąt, świdruje, prześwietla jak rentgenem każdy niemal mebel, wydaje się,

[1] *Hände hoch!* (niem.) – Ręce do góry!

że nic nie zdoła ujść jego uwagi. Czekamy.

– *Oh, unglaublich, Walrosszahn!*[2] – krzyczy naraz podoficer, wciąż jeszcze się nie ruszając.

Lufa pistoletu dotyka wciąż mego brzucha.

– To pana zdobycz? Gdzie upolowana? Kiedy? – z głosu przebija niedowierzanie.

– Morze Białe, niedawno, przed półtora rokiem...

– Po co się tam pan pchał w te lody? – ton jest szorstki, na twarzy esesmana maluje się zaciekawienie.

Nigdy jeszcze chyba tak szybko i składnie nie mówiło mi się po niemiecku (z języka tego nieraz w szkole obrywałem dwójki) o zimowaniu na Wyspie Niedźwiedziej, o Spitsbergenie, o Morzu Barentsa, o wodach Grenlandii, o wszystkim.

Rozumiał widać, co mówiłem, bo słuchał uważnie, delikatnie, niemal pieszczotliwie głaszcząc gładką powierzchnię kła morsa.

– *Nord ruft... das kenne ich auch*[3] – mruknął wreszcie na wpół do siebie, na wpół do mnie. – Północ woła, na to nie ma rady. Ja też to znam, wiem, nieraz sam pływałem, brałem udział w paru wyprawach polarnych. Zimowałem także w Arktyce... Bracia Oien z Tromsö? A któż by ich nie znał?

Pistolet dawno już znikł w kaburze. Szorstki głos złagodniał, jak wtedy, kiedy człowiek wspomina jakieś dobre chwile. Tylko ciemne oczy, czujne jak oczy mewy, ani przez moment nie zatrzymywały się dłużej na jednym przedmiocie.

– A ten niedźwiedź po jakich krach biegał? – przerwał po chwili milczenia, biorąc do ręki wyszczerzoną kłami czaszkę króla Arktyki.

Wszystko zobaczył, wszystkiego, wydawało się, dotknął. Teraz ja milczałem, a jemu nie zamykały się usta. Próbował butem puszystości futra białego niedźwiedzia leżącego na podłodze, to znów pociągał dłonią po krótkiej, srebrzystej sierści foki na obiciu fotela.

– *Komm hier!*[4] – wrzasnął naraz niespodziewanie, przywołując gestem jednego z dwu znieruchomiałych we framudze drzwi. Struchlałem. „Teraz się dopiero zacznie!" – zdążyłem pomyśleć.

Ale nie. Włożył żołnierzowi do łapy kieł morsa, kazał podziwiać ciężar i długo coś do obu szwargotał. O Arktyce. O nocy polarnej, o lodowych pustyniach, o blasku zorzy. Nie słuchałem, przyznam. Wciąż wyczekiwałem. Ocknąłem się dopiero na słowa:

– *Wirklich, das ist ein kleines arktisches Museum!*[5]

Chwilę jeszcze esesman stał pośrodku, jakby się wahał, ostatnim spojrzeniem obrzucił pokój, walnął obcasem, zasalutował. Wyszli wszyscy trzej, mocno trzaskając drzwiami. Wolno rozpływał się stukot ich kroków na klatce schodowej, umilkł wreszcie. A my siedzieliśmy wciąż bez słowa, patrząc bezmyślnie, jak w mlecznej bieli kła morsa odbija się promień grudniowego słońca. Zapomniałem dodać, że był to rok 1939, a co ważniejsze, pod łóżkiem leżał sobie spokojnie – bynajmniej nie arktyczne trofeum – generator wysokiej częstotliwości do strojenia odbiorników i stacji nadawczych.

Odkryty podczas rewizji, mógł zaprowadzić nas daleko, tam gdzie znaleźliśmy się zresztą w cztery lata później – do obozów koncentracyjnych.

---

[2] *Oh, unglaublich...* (niem.) – Ależ nie do wiary, kieł morsa!
[3] *Nord ruft...* (niem.) – Północ woła, ja też to znam.
[4] *Komm hier!* (niem.) – Chodź tutaj!
[5] *Wirklich...* (niem.) – Rzeczywiście, to małe muzeum arktyczne!

Przed dwunastu laty Alina i Czesław Centkiewiczowie zostali laureatami Nagrody „Orlego Pióra"

POLARNA SAGA CENTKIEWICZÓW

Ta wielotomowa opowieść rozpoczęta przed 50 laty piórem Czesława Centkiewicza, kierownika pierwszej polskiej wyprawy polarnej – a w latach następnych pisana „na dwa pióra" wraz z Aliną Centkiewiczową – stanowi zjawisko całkiem wyjątkowe nie tylko w naszej ale i w światowej literaturze. Centkiewiczowie zawładnęli wyobraźnią wszystkich, i najmłodszych, i młodych, i dorosłych czytelników wprowadzając ich na białe szlaki polarnej przygody. Ich książki są w lekturach szkolnych, a równocześnie zdobywają czołowe miejsca w plebiscytach czytelniczych organizowanych zarówno wśród nastolatków (w 1970 roku Alina i Czesław Centkiewiczowie zostali laureatami naszego „Orlego Pióra") jak i wśród dorosłych (np. I nagroda w plebiscycie „Głosu Pracy").

JAKIE BYŁY POCZĄTKI LITERACKIEJ PRZYGODY, która stała się treścią życia Centkiewiczów a szerokim rzeszom paru pokoleń czytelników ich książek pozwoliła poznać dzielnych ludzi i groźną naturę białych krańców naszego globu? Właśnie o tych pierwszych swoich polarnych przeżyciach z przełomu lat 1932/33, które zamiłowanego polarnika a następnie i jego żonę uczyniły pisarzami, opowiadają – jak zawsze wspólnie – Alina i Czesław Centkiewiczowie. Posłuchajmy! ▶

CZESŁAW i ALINA

CZESŁAW

Umilkło wycie huraganowego wiatru, gdy zatrzasnąłem za sobą drzwi. Stałem wciąż jeszcze pochylony do przodu, jak przed chwilą, kiedy z trudem przedzierałem się przez zwarte tumany śnieżycy pędzonej gwałtownymi podmuchami. Powoli ścierałem z twarzy twardą maskę śniegu. Igły lodu wczepiły się głęboko w futro czapki, wiatrówki i butów. Zmiatałem je starannie, nim wszedłem do izby. Jeden rzut oka na aparaty uspokoił mnie – wszystkie działały. Teraz dopiero szybko, by nie zapomnieć, wpisałem do dzienniczka zaobserwowane na dworze wskazania naszych termometrów. Tam przy klatkach meteorologicznych huragan wyrwałby mi z ręki zeszyt. Dłuższą chwilę zatrzymałem się przed samopisem elektrycznym wiatromierza. Piórko wciąż, od tygodnia prawie, kreśliło szeroką wstęgę między 120 a 140 km/h. Czuło się zresztą tę prędkość po gwałtownych drganiach podłogi i ścian. Podświadomie wyczekiwałem, czy jakiś potężniejszy od innych podmuch nie oderwie naszego domku od skał i nie rzuci w czerń polarnej nocy. Najbardziej zaniepokoił mnie barograf. Krzywa raptownie opadała. A więc zapowiedź nowej, jeszcze silniejszej burzy...

Niosąc kłęby białego pyłu, śnieżyca na szczęście przesłaniała teraz niebo. Zorza polarna, najpiękniejsze na świecie zjawisko przyrody, była dla nas zawsze niełatwą próbą. Powiem więcej – prawdziwą męką. Kiedy na czystym od chmur niebie zapalały się drgające, różnobarwne wstęgi i całymi godzinami wiły się, skręcały, falowały nad głową niby węże-giganty, wiedzieliśmy, że nieprędko powrócimy do ciepłego domku.

Jeżeli zorza pojawiłaby się teraz, musiałbym czym prędzej wyrwać ze śpiworów Włodka i Staszka, żeby bez względu na mróz i wiatr przeprowadzać obserwacje, fotografować, opisywać wszelkie zmiany form zorzy i robić pomiary spektrometryczne. Przemarznięci do szpiku kości nieraz marzyliśmy, żeby wreszcie zgasła, ustępując miejsca blaskowi gwiazd.

Teraz dopiero szybko, jak co dzień, zaznaczyłem dokładną godzinę na taśmach ponad 40 samopisów, uzupełniłem tusz w piórkach, nakręciłem sprężyny bębnów, spoglądając nieustannie na zegar. Co godzinę trzeba było przeprowadzać jakieś pomiary i obserwacje z dokładnością czasem do 0,1 sekundy. Nieraz stając przed termometrami czułem ciepło wokół serca, wybiegając myślą do tych wszystkich, którzy w dziesiątkach stacji polarnych, podczas II Międzynarodowego Roku Polarnego 1932/33, w tych samych godzinach przeprowadzali te same obserwacje.

Ale jak to się stało, że znalazłem się wówczas niemal pod biegunem północnym?

ALINA

Patrząc na ściągniętą wysiłkiem twarz, na szeroko rozwarte usta zwycięskiego lekkoatlety przerywającego na bieżni taśmę, nie mogłam przypuszczać, że los zwiąże mnie z nim kiedyś na zawsze. Z nim i z wędrowcami białych szlaków. Za nic w świecie nie obejrzałabym sama tej okładki „Przeglądu Sportowego", którą przyjaciółki wciskały mi natrętnie do ręki. Wówczas, o wstydzie, nie interesowałam się wcale sportem i drażniły mnie w czasie przerw w lekcjach podniecone szepty moich koleżanek: „Patrz, Centek! Jaki fajny! Mówiłam ci, że wygra bieg!" Nic a nic mnie to nie obchodziło.

Gdyby nie cudowny wieczór wigilijny w alpejskim schronisku wysokogórskim, które potężna lawina odcięła niespodziewanie od świata, nie doszłoby zapewne nigdy do naszego spotkania z Czesławem. A przecież w Warszawie mieszkaliśmy od siebie o kilka zaledwie ulic...

Zatem, po egzaminach na Uniwersytecie, wędrowaliśmy po zawalonych lodowcami górach. Słuchałam wówczas cierpliwie jego opowiadań o białych szlakach polarnych wypraw. Wymarzony przez Czesława świat był mi obcy, jak żaden. Surowy, groźny, bezlitosny. Czegóż nie wysłucha jednak zakochana dziewczyna? Czy mogłam sądzić, że kiedyś i ja będę się pasjonować sprawami ludzi Dalekiej Północy i Dalekiego Południa, Arktyki i Antarktydy? Pisać o nich razem z Czesławem? I nie raz jeszcze do nich zatęsknić?

O wszystkim zdecydował śmieszny na pozór przypadek. A może tak właśnie „miało być?" Czesław zainstalował w moim pokoju uszkodzone, drgające niespokojnie rury neonowe nakryte przezroczystą skórą węża brazylijskiego. Wieczorem pokój stawał się piękny i tajemniczy. Grający jaskrawymi barwami neonów wąż, wydawało się, pełzał po ścianie. Ale przyjaciel rodziców, elektryk, ojciec Hanki Sawickiej, na ten widok złapał się za głowę: „Kto śmiał zainstalować neony w mieszkaniu? Co? Narzeczony? Nie oddawajcie mu córki, to szaleniec, zabije ją!"

Na szczęście Czesław wytłumaczył przerażonemu panu, jak zabezpieczył instalację, żeby nie dopuścić do nieszczęśliwego wypadku. Pomysłowość młodego inżyniera przemówiła do przekonania nestora polskiej elektroniki.

Dalsze dzieje potoczyły się szybko. I... niespodziewanie. W parę dni później dyrektor Państwowego Instytutu Meteorologicznego zawezwał do siebie Czesława. Umierałam z ciekawości, czekając kilka godzin, które wydawały mi się wiekiem. Czego mógł od niego chcieć?

– „Jadę na wyprawę!" – krzyknął Czesław wpadając wreszcie jak burza do pokoju. – „Ja z tobą"! – odpowiedziałam bez chwili wahania. I zamilkłam.

...Wyprawa... polarna, niezwykła. 400 dni. Zimowanie gdzieś hen daleko, prawie pod biegunem północnym. Maleńka, skalista wysepka, zagubiona pośrodku wielkich połaci Morza Barentsa. Samotna, bezludna. Pierwsza polska naukowa stacja polarna w Arktyce. Pomiary i obserwacje w ramach II Międzynarodowego Roku Polarnego 1932/33, kilkadziesiąt państw organizuje sieć placówek, które niczym wieniec opaszą biegun. Czyż może zabraknąć wśród nich Polski? To jedyna szansa wejścia naszego kraju do wielkiej rodziny badaczy polarnych. Nie wolno tej okazji zaprzepaścić. We wszystkich stacjach naukowcy będą przeprowadzać badania i obserwacje według wspólnego programu, podobnymi narzędziami, w tych sa-

W SZKOLE IMIENIA
ALINY I CZESŁAWA CENTKIEWICZÓW
W WAŁBRZYCHU

Nadanie imienia to ważna i podniosła uroczystość w życiu każdej szkoły. Przedtem jednak trzeba dokonać wyboru patrona, no i – oczywiście – przygotować całą

mych wszędzie terminach. Wyniki prac pozwolą rozwiązać wiele nie wyjaśnionych dotąd tajemnic Ziemi.

Czesław mówił i mówił. Oczy mu pałały, kiedy jednym tchem wyrzucał z siebie wszystko, co usłyszał. Niewiele z tego wtedy zrozumiałam. Straszne słowo „biegun", „bezludna wysepka", „400 dni" kołatały w mojej biednej głowie. Patrzyłam na niego z rozpaczą. Zauważył to wreszcie. – „Puścisz mnie?" – w jego głosie niepewność walczyła z nadzieją.

Czy mogłam powiedzieć „nie"? Przekreślić tyloletnie marzenia? Jak ciężko było mi na sercu, kiedy odpływał na tę nieznaną wysepkę, to tylko ja wiem. Bardzo ciężko. Czyż mogłam odgadnąć, jak wielką rolę odegra ona w naszym życiu?

CZESŁAW

Nigdy, póki życia, nie zapomnę chwili, w której ze wzburzonych fal Morza Barentsa wyłoniły się groźne zarysy Wyspy Niedźwiedziej. Biły w niebo czarną, granitową ścianą wznoszącą się prostopadle na wysokość 400 m. Wierzchołek jej tonął w zwałach ołowianych, ciężkich chmur. Powierzchnia tego maleńkiego „sęka", jak okruch rzuconego na morze, robiła przygnębiające wrażenie: rumowisko nagich skał usiane setkami drobnych jeziorek. Z trudem tłumiłem uczucie zawodu.

Domek starej kopalni węgla, który oddał do dyspozycji Polakom Norweski Instytut Meteorologiczny, był na szczęście dość wygodny. Nie opodal mieściła się radiostacja obsługiwana przez Norwegów. Z zaskoczeniem patrzyliśmy na ich blade, ściągnięte zmęczeniem twarze. Wkrótce jednak zrozumieliśmy przyczynę tego wyglądu.

Dzień polarny tutaj, pod 74°30' szer. półn. trwa 106 dni. O północy jest prawie tak samo jasno jak w południe. Nie odczuwając potrzeby snu pracuje się właściwie dzień i noc.

Pragnąc jak najszybciej uruchomić polską stację, zainstalować wszystkie aparaty, harowaliśmy po 20 godzin na dobę i wkrótce wyglądaliśmy podobnie jak Norwedzy.

Dnia 27 sierpnia 1932 r. był dla nas dniem uroczystym. Pierwsza Polska Stacja Polarna w Arktyce rozpoczęła pracę. Ze wzruszeniem przeprowadziliśmy pierwsze obserwacje meteo, pomiary magnetyzmu ziemskiego i natężenia promieni słonecznych. Ale nie tylko te prace pochłaniały nam czas. Trzeba było gotować, prać, sprzątać, wytapiać każdy litr wody ze śniegu. I jeść. Żywności przywieźliśmy ze sobą parę ton. „Kucharzyliśmy" na zmianę. Każdy miał swoją „specjalność", ale często marzyłem o tym, co przygotowałyby drogie sercu dłonie tej, która była tak bardzo daleko.

* * *

Wskazówki zegara przybliżały się do godziny 6.37 – termin pracy nadajnika Wyspy Jan Mayen. Już trzecią dobę przekazywał alarmującą wiadomość. Meteorolog austriackiej wyprawy zimującej tam nie powrócił z obserwacji. Zagubił się w śnieżycy. Czy go wreszcie odnaleźli? Włączyłem odbiornik. Po chwili już ze sposobu pracy operatora wyczułem nurtujący go niepokój.

„Dwu ludzi – wystukiwał powoli – przed 6 godzinami wyszło na poszukiwania. Nie powrócili dotąd. Stop. Lękamy się o nich. Stop. Burza nie słabnie. Stop. Zapaliliśmy reflektor, wystrzeliliśmy sto rakiet kolorowych. Stop. Słuchajcie nas za godzinę".

Nadajnik umilkł. W słuchawkach brzęczały tylko przytłumione zwykłym szumem sygnały jakichś odległych stacji. A ja wciąż nie ruszałem się z miejsca, nie wyłączałem odbiornika przeżywając tragedię Austriaków. Nie mogliśmy im w niczym dopomóc. Nikt nie mógł. W ciągu nocy polarnej nie sposób było dopłynąć do naszych wysepek. Trzeba było czekać.

Już następnego dnia odetchnąłem z ulgą. Odetchnęła cała Arktyka. Zagubionego odnaleziono w ciężkim stanie: odmrożenia stóp i dłoni, zapalenie płuc. Lekarz z odległych wybrzeży norweskich parę razy na dobę udzielał przez radio wskazówek, jak postępować, jak ratować chorego, a wtedy milkły wszystkie nadajniki, żeby nie zakłócać łączności.

* * *

Pod koniec nocy polarnej, kiedy panował jeszcze mrok, do południowego brzegu Wyspy Niedźwiedziej przedarł się norweski łamacz lodu. Na pokładzie wiózł, w kilkunastu szczelnie zamkniętych beczkach – pocztę dla nas. Jakże byliśmy jej spragnieni. Nadajnik Wyspy był zbyt słaby, żeby przekazywać wiadomości od nas wprost do kraju. Słuchając co sobotę audycji Polskiego Radia dla „tych z Wyspy Niedźwiedziej" – pisali do nas młodzi i starsi. W ciągu paru zimowych miesięcy w urzędzie pocztowym w Tromsö zgromadziło się tysiące listów. „Pamiętają o was, kochają was" – śmieli się Norwedzy.

ABY WIEDZIEĆ JAK NAJWIĘCEJ

imprezę. Takie zadanie stanęło przed dwoma laty przed gronem pedagogicznym i uczniami Szkoły Podstawowej nr 5 w Wałbrzychu. Szkoła, choć istniała już 35 lat, była dotąd bezimienna. Zastanawiano się więc, kto powinien jej patronować, czyje nosić będzie imię. Propozycji było wiele. Zwyciężyły głosy uczniów domagających się, aby patronem został pisarz, i to pisarz szczególnie bliski młodzieży.

O tym, że mają to być Alina i Czesław Centkiewiczowie, zdecydowała statystyka biblioteczna, karty czytelników szkolnej biblioteki, z których wynikało, że właśnie ci pisarze są najbardziej popularni.

Decyzja więc zapadła w szkole, ale trzeba było poczekać na zatwierdzenie jej przez władze oświatowe. Jedyny to przecież, bezprecedensowy przypadek, że patronem szkoły mieli być żyjący ludzie. Kiedy już uzyskano zgodę Ministerstwa Oświaty i Wychowania, rozpoczęły się gorączkowe przygotowania do uroczystości. Wreszcie nastąpiła w dniu 6.V.1981 r. długo oczekiwana chwila. Powitano w progach szkoły Państwa Alinę i Czesława Centkiewiczów, było dużo gości – władze terenowe, oświatowe, przedstawiciele Komitetu Opiekuńczego i Rodzicielskiego. Szkoła otrzymała sztandar, były przemówienia, recytacje, kwiaty. Ze wzruszeniem przeżywali ten dzień zarówno sami patronowie szkoły, jak i młodzież oraz nauczyciele.

Czytam o tym w niezwykle starannie prowadzonej kronice szkolnej, oglądam

Pingwin i dwa srebrne pióra – to symbol polarnego pisarstwa patronów szkoły

Ale Morze Barentsa bywa morzem okrutnym. Sztormowa fala nie dopuściła łamacza lodu do brzegu. Stojąc po pas w lodowatej wodzie usiłowaliśmy przeciągać linami bezcenne dla nas beczki. Już byliśmy pewni zwycięstwa. I nagle z dziesięciopiętrowej skały runęła lawina, cisnęła beczkami z powrotem do wody i przywaliła setkami ton śniegu. Cały nasz wysiłek poszedł na marne. Pocztę odebrało za nas morze.

Na brak codziennych zajęć nie mogliśmy się uskarżać. Wielka wilgotność powietrza i nasycenie wodą morską niszczyło bez przerwy złącza przewodów elektrycznych i zaciski akumulatorów. Największym jednak naszym wrogiem był wiatr. Przed końcem roku sztorm o sile przekraczającej 200 km/h zwalił nam niespodziewanie maszty radiowe i klatki meteo. Długo, bardzo długo męczyliśmy się walcząc ze wściekłymi podmuchami, ale nie dawaliśmy za wygraną. Szkody trzeba było jak najszybciej usunąć, żeby nie dopuścić do zbyt długich przerw w obserwacjach.

* * *

Pamiętnym i zarazem niezmiernie ważnym wydarzeniem w moim życiu było nagłe zamilknięcie naszej radiostacji. Uszkodzenie było poważne, nie mogliśmy go usunąć własnymi siłami. Przedłużająca się cisza zaniepokoiła Norwegię. Słyszeliśmy sygnały, zapytania. A wreszcie sygnał: „CQ... CQ... Do wszystkich... do wszystkich statków na Morzu Barentsa". – „Podpłyńcie do Wyspy Niedźwiedziej, sprawdźcie, co się stało, czy nie wybuchł tam pożar". – I znów CQ... CQ... powtarzane bez przerwy.

W kilka zaledwie godzin od pierwszego alarmującego sygnału, do naszych brzegów zaczęły podpływać statki. Kapitanowie, szyprowie zmieniali kurs, płynęli pełną mocą silników. Nie pytali, kto zapłaci im za paliwo, za stracony czas. Spieszyli na pomoc. Kilkadziesiąt jednostek pod banderami różnych państw zgromadziło się przy brzegach. Ponad stu ludzi zeszło na ląd.

Patrząc na tę wielką, ofiarną, międzynarodową flotyllę zrozumiałem, co znaczy braterstwo ludzi morza, ludzi Dalekiej Północy. Czytałem o nim wiele, ale tu mogłem zobaczyć na własne oczy, odczuć, czym naprawdę jest. I wtedy raz jeszcze pomyślałem z wdzięcznością o Alinie, że zgodziła się na mój udział w wyprawie.

Skaliste brzegi Wyspy Niedźwiedziej

Cisza przerywana poświstami wiatru wydawała mi się jeszcze głębsza, kiedy ustał gwar ożywionych głosów, kiedy wszyscy odpłynęli. Wtedy po raz pierwszy w życiu chwyciłem za pióro, żeby przelać na papier ten nadmiar wrażeń, to uczucie szczęścia, że mogłem przeżywać wymarzone ongiś chwile. List do Aliny był początkiem. Nie sądziłem, że od tej pory będę czuć potrzebę notowania dzień w dzień wszystkiego, co się wydarzyło, daleki byłem od przypuszczeń, że z listów tych powstanie pierwsza moja książka „Wyspa Mgieł i Wichrów", że stanie się ona zaczątkiem długiej „centkiewiczowskiej sagi polarnej". Alina bowiem przyłączyła się do mnie poznawszy wędrowców białych szlaków. I tak zaczęło się nasze wiele, wiele lat trwające wspólne pisarstwo.

Alina Centkiewicz

Czesław Centkiewicz

wklejone zdjęcia i słucham relacji dyrektora, p. Zygmunta Nowaczyka, który – choć tak się złożyło, że był to akurat dzień wolny od nauki – zgodził się pokazać mi szkołę.

Podczas uroczystości nadania szkole imienia

Rozmawiamy w szkolnej Izbie Patrona, którą można by nazwać małym muzeum polarnictwa. Wystrój izby to rezultat wielu starań samych uczniów i nauczycieli wychowania plastycznego i technicznego. Jedną ze ścian zdobią ilustracje do książek Centkiewiczów. Są też kukiełki przedstawiające Anaruka, Odarpiego, a także całe stadko pingwinów i niedźwiedzi. W gablotach ułożone eksponaty ofiarowane szkole przez patronów, przywiezione z podróży po świecie. Wśród nich wielki wypchany pingwin Adeli, rzeźby wykonane przez Eskimosów z kości renów i kłów morsów, maskotki fok zrobione z prawdziwego foczego futra, szkielet ryby piły, japońskie sandały, maczeta do cięcia lian, czaszka polarnego niedźwiedzia i prawdziwe jajo strusie.

W oddzielnej gablotce znalazłam pięknie eksponowane Orle Pióro – nagrodę czytelników „Płomyka", przyznaną autorom w plebiscycie w 1970 r. Są też oryginalne listy pisane do młodzieży i fotografie przedstawiające Alinę i Czesława Centkiewiczów przy pracy, podczas podróży, podczas spotkań z czytelnikami.

Dyrektor Nowaczyk pokazuje mi również nowy eksponat: mapę fragmentu terytorium Antarktydy z Oazą Bungera, gdzie zaznaczono „Wzgórza Centkiewiczów". A więc nie tylko szkoła nosi ich imię!

Główną ścianę izby zdobi biało-czerwony sztandar, a pod nim znajduje się gablotka ze szkolnym sztandarem. Z jednej strony widnieje na nim srebrny orzeł na tle narodowych barw, z drugiej – na niebieskim tle otwarta książka, a na niej... pingwin, pod spodem zaś dwa srebrne pióra – symbol pisarstwa Aliny i Czesława Centkiewiczów.

– A jak pisarze przyjęli propozycję wybrania ich na patronów szkoły?

W odpowiedzi dyrektor podaje mi wklejony do kroniki list: „Kochani nasi! Jesteśmy uszczęśliwieni Waszym pięknym pomysłem nadania szkole naszego imienia. I to w jakim pięknym momencie – 45-lecia pracy twórczej Czesława i 30-lecia wspólnej z Aliną. To wzrusza głęboko, to przynosi nam zaszczyt, tym bardziej, że inicjatywa pochodzi z Dolnego Śląska, z którym jesteśmy zawsze uczuciowo związani. Był

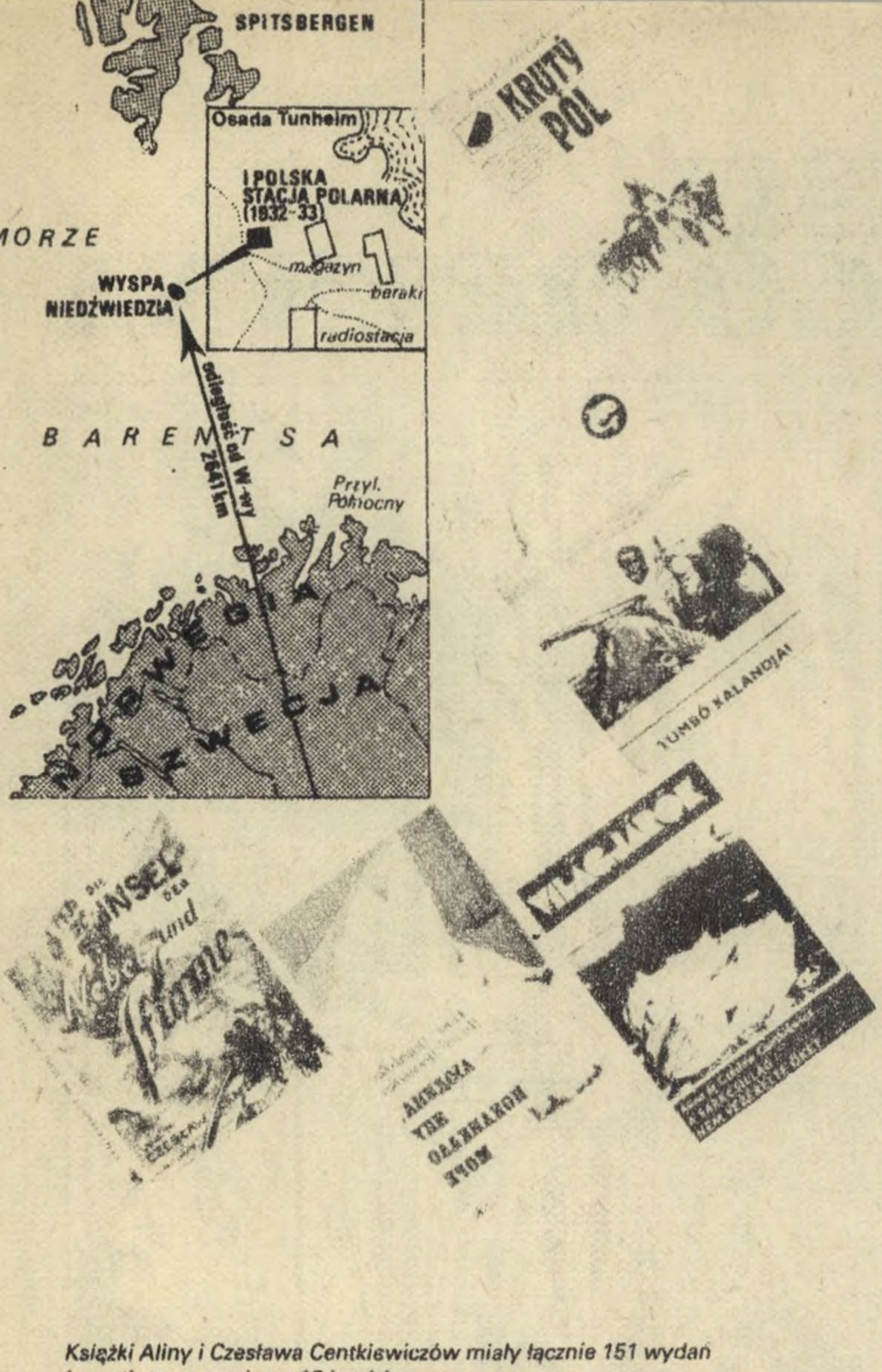

Książki Aliny i Czesława Centkiewiczów miały łącznie 151 wydań i przetłumaczono je na 15 języków

Pierwsza Polska Wyprawa Polarna rozbudziła niespodziewanie wśród młodych tęsknotę za Wielką Białą Przygodą. W 1934 r. do południowych brzegów Spitsbergenu płynie 7-osobowa grupa: taternicy, geolodzy, kartografowie. Wynikiem prac tych ostatnich jest dokładna mapa nie zbadanej Ziemi Torella. Po raz pierwszy w Arktyce ukazują się polskie nazwy szczytów, przełęczy, lodowców. W rok później 3-osobowy zespół przechodzi na nartach od południowego krańca Wyspy do północnego cypla Ziemi Zachodniej Spitsbergenu. Cz. Centkiewicz powraca na Wyspę Niedźwiedzią, później przepływa do północnego krańca Spitsbergenu, a zimą 1937 roku bierze udział w 100-dniowej wyprawie myśliwskiej na foki, morsy i białe niedźwiedzie na Morzu Barentsa i w gardle Morza Białego. Lato 1938 r. widzi znów polskich glacjologów na Spitsbergenie.

Wojna światowa kładzie kres naszym wyprawom. Dopiero przygotowania do Międzynarodowego Roku Geofizycznego w 1957/58 podrywają znów do czynu „starych" polarników i rozpalają młodych. W Hornsundzie, na południowym brzegu Spitsbergenu, powstaje nowoczesna polska stacja naukowa (własne domki, elektrownia, ciągniki, łaziki). W organizacji jej bierze udział Cz. Centkiewicz. Na zimę pozostaje tam 10-osobowa grupa. W ciągu następnych 25 lat korzysta z tej bazy kilkadziesiąt letnich wypraw organizowanch przez zakłady naukowe Polskiej Akademii Nauk oraz kilku uniwersytetów. W roku 1982/83 zimować tam będzi piąta z kolei wyprawa całoroczna.

Od dawna Polacy patrzyli z utęsknieniem na odległy ląd przeciwległego krańca Ziemi, na Antarktydę. W grudniu 1958 r. podczas antarktycznego lata wypływa tam na statku naukowej radzieckiej wyprawy 7-osobowa grupa badaczy z Polskiej Akademii Nauk – Pierwsza na Antarktydzie Polska Wyprawa Rekonesansowa. Towarzyszy jej, urzeczona już Arktyką A. Centkiewiczowa. Wyprawa ma na celu przejęcie ofiarowanej przez polarników radzieckich stacji naukowej w Oazie Bungera, której Polacy nadają imię nestora polskich badań polarnych – A.B. Dobrowolskiego.

W 1977 r. na wodach Antarktyki, na Wyspie Króla Jerzego, powstaje nowoczesna, bogato wyposażona stała Stacja im. H. Arctowskiego. Na przełomie lat 1982/83 zimuje tam siódma z kolei polska wyprawa. Ponadto na odległe wody południowego krańca globu ziemskiego wypłynęło dotąd z Polski 6 polarnych morskich wypraw naukowych (głównie biologicznych).

W listopadzie 1982 r. na uroczystej sesji Polskiej Akademii Nauk nadano tytuły Honorowych Członków Komitetu Badań Polarnych dwu uczestnikom wyprawy na Wyspę Niedźwiedzią w 1932 r.: inż. Czesławowi Centkiewiczowi i prof. Stanisławowi Siedleckiemu. Wręczono im także Medale Mikołaja Kopernika przyznawane przez PAN za zasługi dla nauki polskiej.

on naszym domem w ciągu pierwszych pięciu lat po wyzwoleniu. To wtenczas Czesław uruchamiał energetykę dolnośląską, dając pierwsze światło i ciepło Waszym rodzicom. Tam też powstały pierwsze książki Aliny i Czesława. Z radością myślimy o nawiązaniu z Wami kontaktu, który, mamy nadzieję, przerodzi się w prawdziwą przyjaźń. A jak wiecie zapewne z naszych książek, przyjaźni polarnych byle wiatr nie rozwieje".

Od uroczystego nadania szkole imienia Centkiewiczów minął rok i kilka miesięcy. Wszystko wskazuje na to, że przyjaźń ta w miarę upływu czasu coraz bardziej się cementuje, a nawet, rzec można, przybiera prawie rodzinny charakter. Pani Alina powiedziała po prostu: „Powiększyła się nam rodzina. Mamy teraz tysiąc dzieci, dawno nie czuliśmy się tak szczęśliwi".

A więc, jak w rodzinie, pamięta się o imieninach, urodzinach, przesyła się życzenia na święta i karty z pozdrowieniami z podróży. Wśród tych licznych dowodów pamięci znajduje się karta nadesłana w tym roku przez panią Alinę z Hiszpanii, z Cadiz, gdzie była matką chrzestną zbudowanego tam nowego polskiego statku „Wrocław".

Ostatnie zapiski w kronice dotyczą zwycięzców konkursu czytelniczego ze znajomości książek Centkiewiczów. Walka była zacięta, a wybór laureatów niełatwy, bowiem trudno byłoby znaleźć w szkole ucznia, który nie zna przynajmniej dwóch książek Centkiewiczów, a są tacy, którzy recytują z pamięci całe fragmenty „Anaruka", „Tumba" czy „Fridtjöfa" i o każdej porze dnia i nocy mogą odpowiedzieć, jak w wielkiej grze, na każde pytanie dotyczące twórczości pisarzy.

W kronice znalazłam też obrazowe zestawienie wszystkich polskich wydań oraz zagranicznych tłumaczeń książek Centkiewiczów. Uczniowie wałbrzyskiej Szkoły wyliczyli, że gdyby ułożyć wszystkie egzemplarze książek Centkiewiczów, jeden za drugim, to pokryłyby odcinek długości 1572 km, a gdyby ułożyć książki w słupku jedną na drugiej – sięgnęłyby na wysokość 196 km.

35 książek, które miały łącznie 151 wydań, to dotychczasowy dorobek pisarski Centkiewiczów. Przetłumaczono je na 15 języków obcych, a 10 książek wydano alfabetem Braille'a dla niewidomych.

Niewielu pisarzy tak szerokim frontem dociera do czytelników. Na lekturze książek Centkiewiczów wychowuje się już trzecie pokolenie, już trzecie pokolenie poznaje tajemnice i uroki świata Arktyki i Antarktyki, podziwiając odwagę i poświęcenie polarników, którzy w walce z nieustępliwymi siłami przyrody odkrywali ich tajemnice.

„Człowiek pragnie wiedzieć; jeśli przestaje pragnąć – nie jest godzien miana człowieka" – ta piękna myśl Fridtjöfa Nansena, wypisana wielkimi literami na głównej ścianie szkolnego holu, jest dodatkowym potwierdzeniem słuszności wyboru Aliny i Czesława Centkiewiczów na patronów szkoły. Ich książki nie tylko dostarczają czytelnikom wzruszających przeżyć, ale rozbudzają też pragnienie poznania nawet najdalszych, najbardziej niedostępnych obszarów świata, pragnienie, aby wiedzieć jak najwięcej...

WIESŁAWA KRAJEWSKA

OPOWIEŚCI Z LIPOWEGO DREWNA

O Ołtarzu Wita Stwosza w Kościele Mariackim w Krakowie

Gdy kończyła się noc księżycowa,
do tej szopy nadrzecznej i dużej
znów przychodził mistrz i snycował
włosy, nosy, ręce i uszy,

betlejemskie dziwa i dary,
i kubraki, i szuby na plecach,
piękne wargi podbarwiał Marii,
a łajdaków sromotnie oszpecał;

kładł jabłuszka na złotych talerzach,
wyżej gwiazdki, by świeciły nocą;
sam się dziwił, że tyli świat mieszka
w ordynarnym lipowym klocu. (...)

(z poematu „Wit Stwosz"
K.I. Gałczyńskiego)

Jak uważnie musiał przyjrzeć się Gałczyński Stwoszowemu dziełu, jeśli tyle z niego szczegółów wydobył, na tyle piękności zwrócił uwagę. Dostrzegł to, czego na ogół nie zauważają turyści pośpiesznie przemierzający prezbiterium Kościoła Mariackiego. Nie ma wtedy czasu zastanawiać się nad poszczególnymi fragmentami: rzut oka, ogólne wrażenie i pędzi się dalej, do następnego zabytku...

A przecież, jak napisał jeden ze znawców sztuki Stwosza – jego Ołtarz to dzieło, na które nie wystarczy tylko popatrzeć, trzeba je dobrze czytać, rozumiejąc zawarte w nim sceny i symbole.

Są tu całe opowieści o życiu Marii i Chrystusa wyrzeźbione przed 500 laty w lipowym drewnie. To największy i najwspanialszy ołtarz w Europie z okresu późnego gotyku.

„Co panowie rada uchwalili, tom wykonał jak trzeba..."

Wszystko zaczęło się oczywiście od zamówienia. Mieszczanie krakowscy w XV w. byli już na tyle zamożni, tak wzbogacili się na handlu zbożem, solą, futrami, siarką czy też wołami, że mogli sobie pozwolić na fundowanie ołtarzy, a wśród nich i głównego, paradnego ołtarza w Kościele Mariackim. Miało to być dzieło efektowne, bogate, na miarę ich dobrobytu i ambicji.

Chodziło tylko o to, komu powierzyć tę odpowiedzialną pracę. Wprawdzie Kraków miał swoich własnych rzeźbiarzy i malarzy, ale wybrano w końcu snycerza z dalekiej Norymbergi. Być może polecił go któryś z kupców jeżdżących z towarami do tego miasta, podobnie jak jeżdżono w sprawach handlowych do miast Włoch, Flandrii czy Angli. I choć niczego nie wiemy o wcześniejszych rzeźbach Wita Stwosza, musiał już być znany jako zdolny snycerz, jeśli jego w końcu sprowadzono do Krakowa. Wybór, jak się potem okazało, był niezwykle trafny, lepszego artystę trudno było sobie wymarzyć.

Wit Stwosz osiedlił się w Krakowie w 1477 r., ale zapewne już tu wcześniej przyjeżdżał dla omówienia warunków i wyboru drzew lipowych (wówczas snycerze sami wybierali drzewa do obróbki. Trzeba było dopilnować ścięcia zimą, zanim lipy napęcznieją wiosennymi sokami).

Chciałoby się coś więcej wiedzieć o tobie, młody artysto, przybyszu z Norymbergi. Jak wyglądałeś? Niestety, nie zachowały się twoje podobizny. Miałeś około 30 lat, gdy przybyłeś do Polski. Wiemy tylko, że kupiłeś sobie na własność dom przy ul. Grodzkiej w Krakowie, ożeniłeś się i wiodłeś dostatnie życie, byłeś też kilkakrotnie wybierany na starszego cechu, musiano cię więc szanować.

Ktoś z ówczesnych kronikarzy pisze, że Wit Stwosz był stateczny, pilny i życzliwy, co przeczy późniejszym relacjom z Norymbergi, które mówią o nim jako o człowieku niespokojnym, krzykliwym, popędliwym. Ale było to w okresie, kiedy wpadł w finansowe kłopoty i władze miejskie Norymbergi były mu wielce nieprzychylne. Jedno jest pewne – artysta wiódł w Krakowie niezwykle pracowity żywot, gdyż oprócz ołtarza wykonywał inne zamówienia do kościołów, powołano go też na konsultanta przy pracach budowlanych.

Nie tylko rzeźbił w drewnie i kamieniu, ale też był malarzem, grafikiem, robił odlewy z brązu, znał się na architekturze. Obdarzony więc był rozlicznymi talentami. Ujawiły się one w pełni podczas pracy nad Ołtarzem Mariackim; musiał tu wykazać zarówno umiejętność snycerza, stolarza, malarza, jak i budowniczego. Niewątpliwie nie mógł się obyć bez pomocników, ale nie było ich zapewne zbyt wielu, gdyż uszczupliłoby to jego własne zarobki. Większość więc robót wykonywał sam.

★

Drzewa lipowe są już zwiezione. Wielkie, grube pnie muszą schnąć co najmniej przez cztery lata, by nadawały się do snycerki. W tym czasie można wykonywać inne dodatkowe roboty przy ołtarzu.

Szkoda, że nie możemy zajrzeć do pracowni Stwosza, przyjrzeć się jego pracy – nie zachowały się o tym dokładniejsze relacje. Możemy sobie tylko wyobrazić trud artysty przy obrabianiu potężnych pni i rzeźbieniu figur, z których największe mają do 2,80 m wysokości, a najmniejsze, ukrywające się wśród obfitych dekoracji, są ledwie widoczne.

Ogółem mistrz „zaludnił" swój ołtarz około 200 postaciami świętych, aniołów, diabłów i różnych osób, często wziętych wprost z życia, podpatrzonych na ulicy, w kościele czy w ratuszu.

U góry – gmerk Stwosza (gmerki były to znaki używane we wczesnym średniowieczu przez rzemieślników dla oznaczenia własnego dzieła)

Jedna z figur ramy

Mieszczanie krakowscy być może rozpoznawali w tych osobach niejedną znajomą twarz niewieścią lub męską, niejedno znane ogółowi oblicze duchowne lub świeckie. Ponoć i Kallimacha, uczonego, wychowawcę synów Kazimierza Jagiellończyka wyrzeźbił, i postać biskupa Oleśnickiego uwiecznił w scenie przedstawiającej nauczanie 12-letniego Jezusa w świątyni.

Nie mniejszą staranność, jak przy rzeźbieniu figur, wykazał Stwosz przy tworzeniu bogatych dekoracji ołtarza. Zdobią go kunsztownie splecione ornamenty, przeróżne iglice z kwiatonami, łuki, filarki. Szczególnie obfituje w nie część środkowa zwieńczona ażurowym baldachimem. A u dołu, w tzw. predelli, przedstawia artysta fantazyjnie splecione drzewo, będące drzewem genealogicznym Marii i Chrystusa.

Wszystko to obficie pomalowane, mieniące się złotem, błękitem, czerwienią i innymi kolorami.

...„ strzemię i Zwiastowanie,
wszystko w złocie się pali –
i zamki blankowane,
i owieczki na hali"...

Pozostaje jeszcze wciągnięcie poszczególnych części na ruchomych bloczkach, zawieszonych u stropu świątyni i ostateczny montaż.

Teraz widać ołtarz w całej okazałości. Ma 11 metrów szerokości i 13 metrów wysokości (sama szafa wysoka jest na 7 m). Dzieło świetnie będzie się prezentować na tle trzech witraży, jest dobrze zharmonizowane z wnętrzem świątyni.

Po 12 latach pracy Stwosz ma chyba powody do satysfakcji. Podobnie jak mieszczanie krakowscy oglądający po raz pierwszy rozjarzony złotem ołtarz w lipcu 1489 r. Przybysz z Norymbergi nie zawiódł ich oczekiwań.

Miecz jednego ze strażników

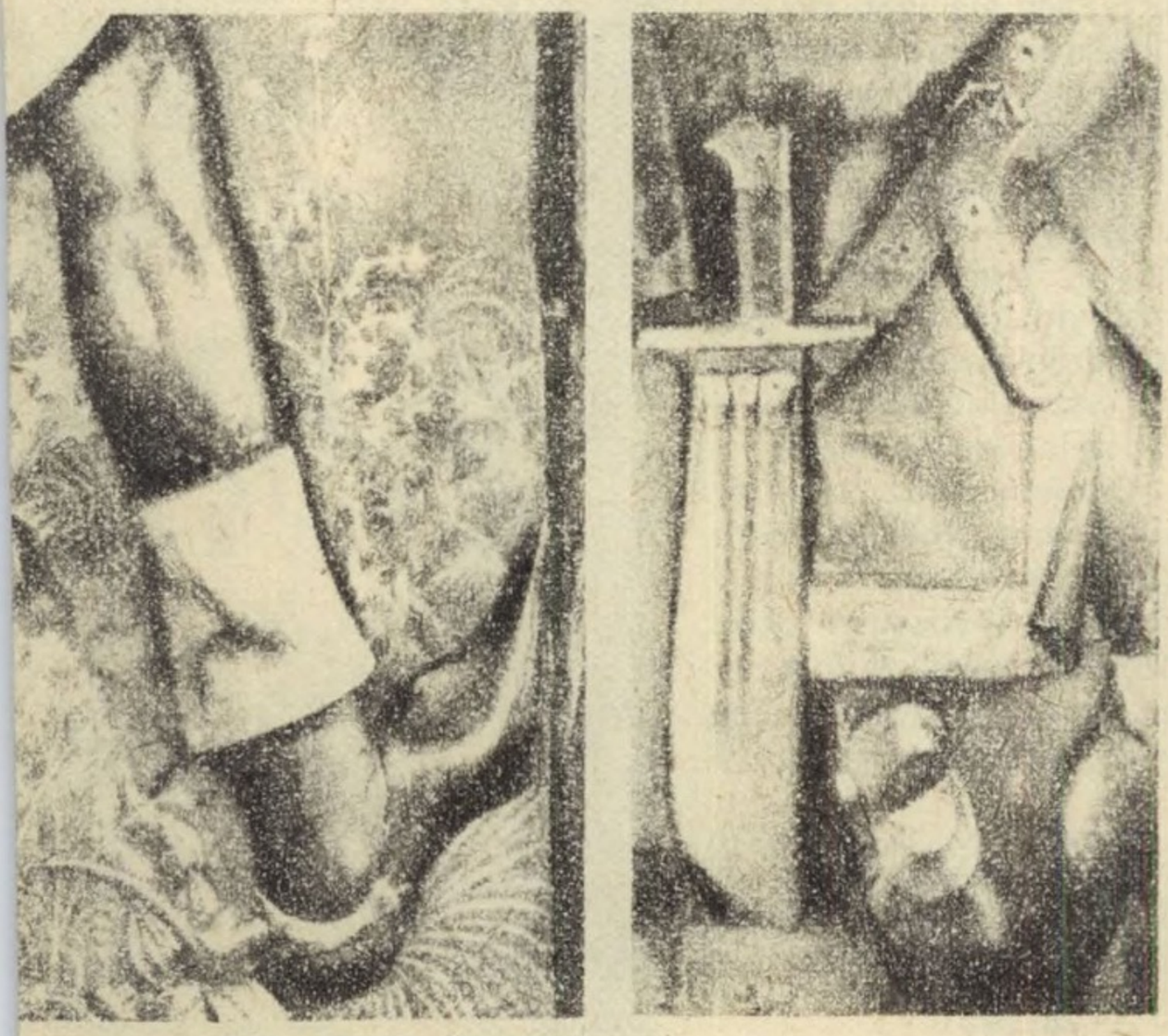

W tle – wiernie odtworzone rośliny

„... drzewo przemieni w ludzi, ptaki i kwiaty..."

Przyjrzyjmy się teraz bliżej twojemu dziełu, mistrzu Stwoszu. Nie odbiega ono swoim układem od średniowiecznych ołtarzy, jakich wiele w ówczesnych miastach europejskich. Są to słynne gotyckie tryptyki – ołtarze złożone z trzech części – lub podobne jak twój – poliptyki, mające więcej części.

W centrum króluje szafa, a po jej bokach widać dwie pary drzwi z płaskorzeźbami – jedne ruchome, a drugie nieruchome, które odsłaniają się dopiero po zamknięciu tych pierwszych. W ten sposób ołtarz zarówno po zamknięciu, jak i po otwarciu zachowuje zawsze tę samą szerokość.

Podobnie jak w dawnych wiekach, również dziś, Ołtarz na ogół jest zamknięty. Widać wówczas tylko zewnętrzne płaskorzeźby, bez figur w środku. Ale oto jest uroczysty dzień i drzwi uchylają się, ukazując paradne, wyzłocone wnętrze. Jak w teatrze rozgrywają się przed nami pełne życia sceny.

W środku – Zaśnięcie Matki Boskiej w otoczeniu 12 apostołów. Krucha, wiotka postać Marii słania się omdlała, podtrzymywana silnymi rękami apostoła Jakuba, z długą poskręcaną brodą. Na twarzach apostołów widać cierpienie z powodu odejścia Marii. Każdy z nich reaguje na swój sposób. Wrażliwy Jan podnosi połę płaszcza, by otrzeć łzy, Piotr odczytuje z księgi modlitwę, jeden z apostołów gasi świecę – symbol życia, inny bezradnie spogląda w górę, a pośrodku dramatycznie załamuje nad Marią ręce apostoł Maciej.

Tylko pięć olbrzymich nadnaturalnej wielkości figur występuje na pierwszym planie, reszta osób tłoczy się w głębi – artysta ukazuje tylko fragmenty postaci. Każda z figur wyrzeźbiona z osobnego pnia, tylko postacie Marii i Jakuba wyciosane z jednego olbrzymiego kloca lipowego.

Nad sceną Zaśnięcia przedstawił mistrz scenę Wniebowzięcia, a nad nią koronację Marii w otoczeniu aniołów i świętych.

Spójrzmy teraz, co przedstawiają płaskorzeźby na drzwiach wewnętrznych. Są to tzw. „radości Marii" – od Zwiastowania, Bożego Narodzenia i Pokłonu Trzech Króli do Zmartwychwstania, Wniebowstąpienia i Zesłania Ducha Św. Zewnętrzne natomiast sceny, ukazujące się po zamknięciu drzwi, to głównie opowieść o „boleściach" Marii łącznie z Ukrzyżowaniem.

Ogółem mamy 18 płaskorzeźb, przedstawiających sceny wielekroć odtwarzane przez ówczesnych rzeźbiarzy. Nikt jednak nie potrafił tchnąć w nie tyle wyrazu, jak to uczynił Stwosz. Miał potem wielu naśladowców, żaden jednak mu nie dorównał. Pod jego dłutem postacie te ożywają – ich twarze wyrażają przeróżne uczucia – od cierpienia i smutku, do strachu, rozpaczy, gniewu i zachwytu. Starcze twarze, poorane zmarszczkami i twarze młodzieńcze, urodziwe oblicza kobiet i odrażające, wykrzywione grymasem gęby oprawców w scenie pojmania Chrystusa.

Żywe są też pozy poszczególnych postaci i ich gesty. Wymowne są zwłaszcza ruchy rąk – zaciskających się gwałtownie, rozstawionych i złożonych modlitewnie, jak smukłe dłonie Marii w scenie Wniebowstąpienia.

Odtworzył je Stwosz z całym realizmem. Widać sękate, zgrubiałe ręce starców i delikatne dłonie kobiet. Realistycznie przedstawione są też nogi. Dostrzec na nich można poszczególne mięśnie, nawet siatkę żył.

Ten realizm w oddawaniu postaci to wpływ dzieł artystów niderlandzkich, z którymi Wit Stwosz zetknął się w czasie swoich podróży. Dzięki temu rzeźbiarz wnosi do sztuki polskiej zupełnie nowe wartości. Był w swoich czasach twórcą całkowicie nowoczesnym.

Wrażenie ruchu i niepokoju wywołuje też układ fałd w szatach. Nie spływają one dostojnie, jak na figurach innych rzeźbiarzy średniowiecznych, ale są rozwichrzone. Łamią się we wszystkich kierunkach, często nawet niezgodnie z ruchem postaci. Są zbyt obfite, by swobodne poruszanie się w nich było możliwe.

Tak więc odbiegł tutaj artysta od realizmu, aby spotęgować wrażenie ruchu, wprowadzić więcej dynamiki. Bardzo wiernie natomiast oddaje wszelkie szczegóły strojów, łącznie z guzikami, sprzączkami, pętelkami.

Mieszkańcy Krakowa mogli odnaleźć w tych rzeźbach swoje własne stroje, takie, jakie nosili na co dzień i od święta – długie suknie kobiet, męskie kaftany i płaszcze, opończe z kapturami. Stroje ubogie i dostatnie. Rozpoznawali noszone przez siebie obuwie z wydłużonymi nosami, kapelusze, niewieście czepce i zawoje, czasem nazbyt fantazyjnie udrapowane przez rzeźbiarza. Ta torebka wisząca u pasa jednej z niewiast jest kopią torebek, jakie nosiły zazwyczaj mieszczki. Z drobiazgową dokładnością odtworzył też mistrz zbroje żołnierzy i noszoną przez nich broń – topory, włócznie, miecze.

Podobnie dokładnie przedstawił różne przedmioty znajdujące się we wnętrzach. W scenie Narodzin Marii widać ławę z różnymi naczyniami, nad ogniskiem grzeje się kocioł z wodą na kąpiel, a służebna podaje położnicy posiłek na tacy.

W scenach, które dzieją się na wolnym powietrzu, rzeźbiarz zaznacza tło – jest to zazwyczaj górzysty pejzaż z zamkami na stromych skałach lub zielony krajobraz z drzewami i roślinami wiernie odtworzonymi. Odnajdujemy wśród nich takie rośliny łąk, jak jaskółcze ziele, mniszek lekarski, koniczynę; jest oset, konwalia, poziomka.

W splątanej rzeźbie ornamentów zdobiących ołtarz odkrywamy też zwierzęta, wśród nich małpkę, sójkę, jaszczura, a w płaskorzeźbach drzwi figurują zwierzęta domowe, łącznie z owieczkami pasącymi się na łące przy pasterskim szałasie. Niektóre elementy tła są rzeźbione, inne malowane i trudno nieraz odróżnić, gdzie kończą się jedne i zaczynają drugie.

We wszystkich jednak fragmentach dzieła zdumiewa precyzja i doskonałość w odtwarzaniu najdrobniejszych szczegółów. Widać wielką rzetelność artysty, który jak najlepiej chciał się wywiązać z przyjętego zamówienia.

„A ja do Norymbergi..."

Za swoją pracę otrzymał Stwosz 2808 florenów. Była to znaczna jak na owe czasy suma, jeśli za 800 florenów mógł sobie potem kupić dom w Norymberdze.

Na razie pozostaje jeszcze w Krakowie. Ołtarz Mariacki musiał wywrzeć dobre wrażenie – dostaje bowiem dalsze zamówienia. Stwosz wykonuje nagrobek prymasa Oleśnickiego do Katedry w Gnieźnie i płyty nagrobne poświęcone Kallimachowi oraz jednemu z biskupów we Włocławku. Po śmierci króla Kazimierza Jagiellończyka rzeźbi też dla Katedry na Wawelu piękny nagrobek z czerwonego, mieniącego się marmuru. Posąg króla w stroju koronacyjnym, z wyrazem cierpienia na twarzy, to jedna z najwspanialszych, pełnych wyrazu średniowiecznych rzeźb nagrobkowych.

Ale są to już ostatnie lata pobytu w Krakowie. Mistrzowi pilno do Norymbergi. W 1496 r. opuszcza Kraków po 19 latach pobytu w Polsce.

Nie poszczęściło się jednak Witowi w rodzinnym mieście. Musi utrzymywać dużą rodzinę (miał prawdopodobnie 13 dzieci, z których Stanisław był snycerzem w Krakowie, Florian złotnikiem w Zgorzelcu, a Jan malarzem i rzeźbiarzem w Siedmiogrodzie). Wprawdzie otrzymuje różne zamówienia (rzeźbi m.in. figury do norymberskich kościołów i wykonuje piękny ołtarz dla kościoła w Bambergu, gdzie powtarza motywy z Ołtarza Mariackiego), ale prace te nie dorównują w pełni krakowskim osiągnięciom.

Scena środkowa – Zaśnięcie Matki Boskiej i Wniebowzięcie

Boże Narodzenie

Maria w scenie Bożego Narodzenia

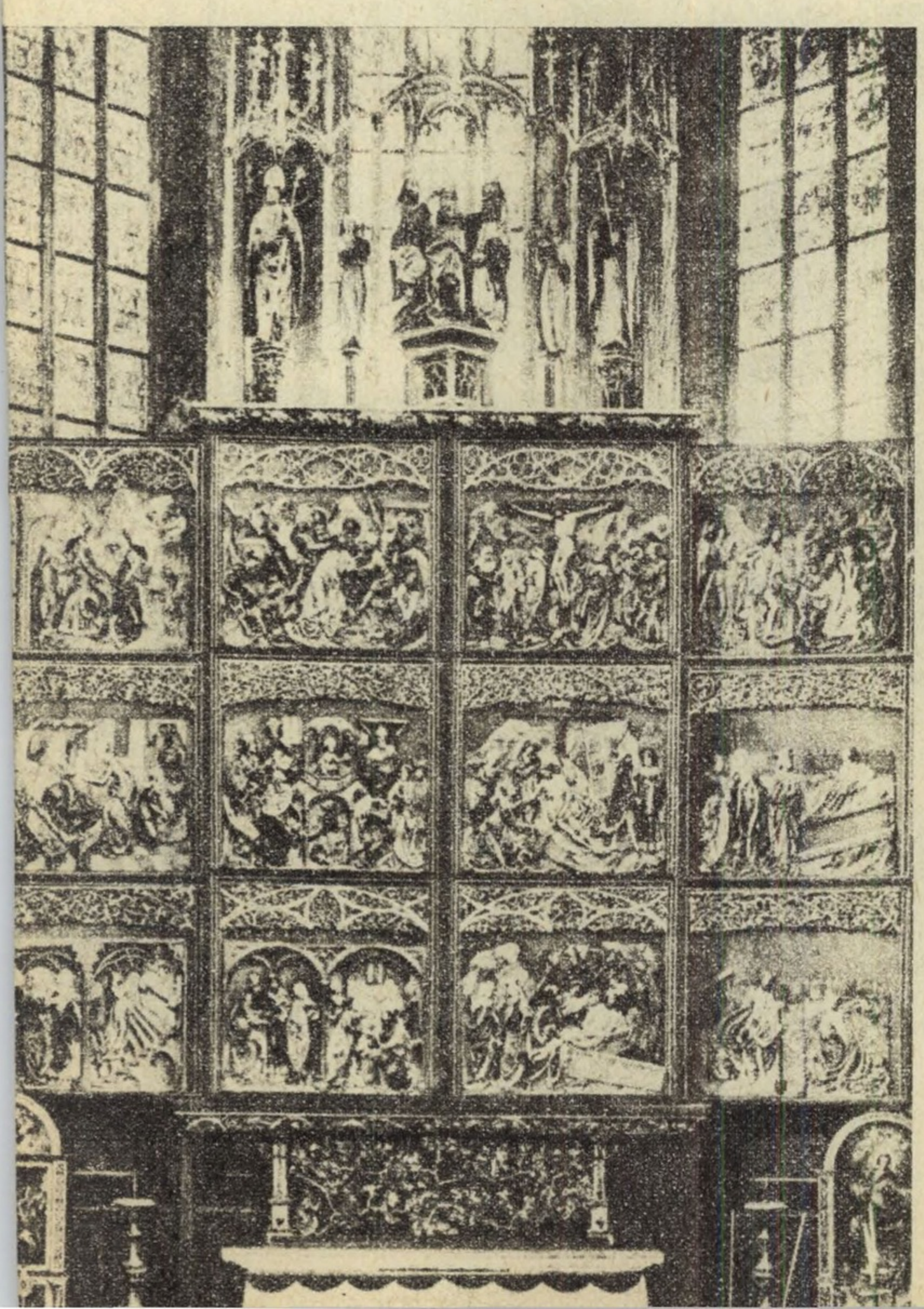

Ołtarz Mariacki zamknięty

Ociemniały Wit Stwosz z wnuczką – obraz Jana Matejki

Pokłon Trzech Króli

Poza tym wpada w tarapaty finansowe – traci cały swój majątek i dostaje się nawet do więzienia. Goryczą napawa go z pewnością i to, że jego prace nie znajdują należytego uznania. Pod koniec życia traci wzrok. Umiera w 1533 r. w biedzie i opuszczeniu.

W wierszu Gałczyńskiego artysta skarży się: „Kto mi choć jedną świeczkę zatli na grobie, za wszystkie blaski moich Zwiastowań i Wniebowstąpień?..."

Ale jeśli tak sądziłeś, jak ci to przypisuje poeta, jakże się myliłeś, mistrzu Stwoszu! Twoje dzieło lśni pełnym blaskiem w Kościele Mariackim i od blisko 500 lat przyciąga tłumy.

Ci, co przeżyli ostatnią wojnę, pamiętają radość z odzyskania Ołtarza, który był zagrabiony przez hitlerowców i ukryty w podziemiach norymberskiego zamku. Po odzyskaniu dzieła od razu przystąpiono w Krakowie do jego gruntownej renowacji. Trzeba było starannie wkleić poutrącane części, przeprowadzić żywiczną impregnację, odsłonić pierwotną polichromię, zatartą w czasie wcześniejszych, nie zawsze fortunnych odnawiań.

Pierwsze zniszczenia ujawniły się już w XVII w. i odtąd co pewien czas ołtarz przechodzi odmładzającą kurację. Również w tym roku konserwatorzy przystąpili do prac renowacyjnych. Są one niezbędne. Jeśli niszczeje marmur i kamień, to cóż dopiero mówić o nietrwałym drewnie, podatnym na pasożyty i uszkodzenia. Trzeba stale walczyć o jego przetrwanie, by zachować to wspaniałe dzieło utrwalone w lipowym drewnie.

ANNA HORODECKA

Apostoł Jan ze sceny Zaśnięcia

Już po raz piąty drukujemy opinie Czytelników-uczestników Plebiscytu „Orle Pióro-1982", uzasadniające wybór książek, które chcieliby ze sobą zabrać na Bezludną Wyspę. W następnym, 24 numerze „Płomyka" zakończymy publikowanie Waszych „głosów" o książkach naj...

Na Wyspę Bezludną z plecakiem pełnym książek

DOROTA NADOLNA, lat 12, z Lublina

Z wielkim trudem wybrałam 5 książek, które najbardziej lubię. Musiałam się przy tym dobrze zastanowić, albowiem ulubionych książek mam wiele. Dlaczego wybrałam właśnie te? Bo jeżeli Wyspa jest naprawdę bezludna, to książka musi zastąpić towarzysza, poprawić nastrój i podnieść na duchu.

Uwielbiam książki M. Musierowicz. Autorka dostrzega i opisuje w nich wady i zalety nastolatków. Przedstawia ich życie w barwny i dowcipny sposób. Czytając jej książki wybucha się raz po raz głośnym śmiechem, a także można poważnie zastanowić się nad kłopotami bohaterów. **„Kwiat kalafiora"** czy **„Szósta klepka"** – to powieści, które z pewnością dostarczyłyby mi rozrywki na Bezludnej Wyspie.

„Podróż z rondlem" – to książka szwedzkiej pisarki Edith Alice Unnerstad, którą przeczytałam mając 10 lat. W czasie czytania śmiałam się do rozpuku. Autorka opisuje losy wielodzietnej, wesołej szwedzkiej rodziny, ich wakacyjną podróż wozami własnej roboty, ich poszukiwania mieszkania i sprzedaż rondli wykonanych przez ojca – wynalazcę. Przy tym autorka ukazuje zabawne cechy najmłodszych członków rodziny (mam na myśli dzieci). Na przykład mały Patryk, zwany Pyszczkiem, był w dzieciństwie „pożeraczem papieru", co przysparzało rodzinie wielu kłopotów. Kiedy po raz wtóry przeczytałam książkę w tym roku, wydała mi się trochę dziecinna i naiwna, ale mimo wszystko bardzo ją lubię i zabrałabym ją na Wyspę.

Następną wybraną przeze mnie książką jest powieść pt. **„Kaktusy z Zielonej ulicy"** – W. Zawady. Ukazuje ona pierwsze miesiące hitlerowskiej okupacji w Zamościu. Grupa podwórkowych przyjaciół postanawia na wzór dorosłych włączyć się do walki z Niemcami. Sprytnie i podstępnie ośmiesza ich i kompromituje. Walory tej ciekawej książki – to prawdziwy humor, żywa narracja oraz dynamiczna akcja. Atrakcyjność powieści podnoszą pełne humoru rysunki L. Paczyńskiego.

„Tydzień z godziną zero" A. Niedźwiedzkiej – ukazuje życie bliźniąt – chłopca i dziewczynki. Książka przepełniona jest humorem i zrozumieniem dla dziecięcych figlów. Ciągłe sprzeczki parv bohaterów, powstające na różnym tle, i wreszcie zabawne zakończenie książki – nie pozwalają ani przez chwilę się nudzić.

Lektury te wybrałam głównie dlatego, że są przepełnione humorem i pisane jasnym, zrozumiałym językiem i pięknym stylem, dlatego czyta się je lekko i jednym tchem, a przy tym dużo się z nich pamięta. Podoba mi się również w nich zróżnicowanie akcji, dzięki temu nie są monotonne.

Myślę, że te książki na Bezludnej Wyspie poprawiałyby mi humor i doskonale spełniały swoją rolę, czyli chociaż częściowo zastępowałyby mi moich przyjaciół.

DOROTA BUFAN, lat 13, z Oleśnicy

Nareszcie nadarzyła się okazja, abym i ja mogła się podzielić swoimi wrażeniami. Nieraz boję się wyrazić o czymś swego sądu, boję się, aby mnie nie wyśmiano. Na papierze jest jakoś łatwiej. Jeszcze mała dygresja. Bardzo się przejęłam losem „Teresy" ze „Świata zza bardzo grubych szkieł"...

Ale miałam przecież pisać o plebiscycie, o książkach, które chciałabym ze sobą zabrać! A więc:

„Quo vadis", dlatego że Sienkiewicz zafascynował mnie swoją wiarą w ludzi. Trudno wymyślić na temat tej książki coś oryginalnego i niepowtarzalnego, ale ja ją rozumiem jako apel do (może to będzie banalne) „ludzi dobrej woli". Uwierzcie w człowieka, bo dobro istnieje w każdym z nas, trzeba tylko poruszyć strunę jakiegoś instrumentu, aby cieplejszą nutką zagrał w naszych sercach. Powtórzę też za Sokratesem, że „zło wynika tylko z nieświadomości".

Tak samo książka **„Okrutny biegun"** moich ukochanych autorów A. i Cz. Centkiewiczów porusza ludzkie sprawy, niezwykłe, a jednak tak zwyczajne. Niejednokrotnie zdarzało się, że wybitny człowiek otoczony czcią potomnych, wśród współczesnych sobie czuł się obcy i samotny.

I jeszcze podoba mi się w książkach Centkiewiczów obiektywizm, rozważają oni wszystkie możliwości, nim wydadzą jakiś sąd o człowieku. Zmuszają czytelnika do refleksji i do zastanowienia się nad własnym postępowaniem.

„Pokolenie Teresy" przypomina mi lata wojny. Znane z lektur i ze słyszenia. Nie chciałabym, żeby się powtórzyły te straszne czasy. Tamto pokolenie też miało swoje radości, ale jakże trudno żyć w ciągłym zagrożeniu z niepewnością jutra! Brr! A jednak żyli i działali – b. ciekawie pisze o tym E. Jackiewiczowa.

„Wyspę skarbów" Stevensona i **„Przygody Marka Piegusa"** E. Niziurskiego przeczytałam już kilkanaście razy i to za pierwszym razem przeczytałam od dechy do dechy. Potem otwierałam gdzie bądź i czytałam, czytałam, czytałam... Prawie umiem je na pamięć.

Nie trafiłam jeszcze na nudną książkę. Kiedy np. opis przyrody wydawał mi się za długi, opuszczałam tę stronę lub kartki, żeby później za miesiąc, za rok przeczytać wszystko, każde słowo. Był taki okres w moim życiu, kiedy wprost chłonęłam książki jak gąbka wodę. Teraz nie mam na to już tak wiele czasu, ale i tak w każdej wolnej chwili chwytam za książkę. A mam takich ulubionych książek, oprócz tych 5, mnóstwo. Wymienię choćby kilka: „Trylogia", „Faraon", „Robinson Cruzoe", „Złoty faraon", „Młoda Gwardia", „Tajemnicza Wyspa", „Bracia Koszmarek", „Magister i ja", „Przygody Hodży Nasreddina", „Plastusiowy pamiętnik", „Ziemia bez słońca", „Tarnina", „Uczniowie Spartakusa"... i wiele, wiele innych. Mogłabym tak wymieniać i wymieniać. Ostatnio zapisałam się do piątej z kolei biblioteki w moim mieście. Koleżanki dziwią się, jak mam na to czas. A ja wolę książkę od filmu. Nie jestem zacofana, ale mam po prostu bujną wyobraźnię i myślę, że po przeczytaniu jakiejś powieści, nie chciałabym już oglądać jej adaptacji filmowej, bo wyobrażałam to sobie inaczej i coś mi potem nie pasuje. Kończę ten metrowy list. Bardzo przepraszam za bazgroły.

ZOFIA ŁUKASZEWICZ, lat 16, z Łęczycy

Dlaczego wybrałam akurat te książki? Chyba przede wszystkim dlatego, że ich bohaterom (głównie bohaterkom) spełniają się „moje" największe marzenia. **„Zwyczajne życie"** i **„Dalszy kawałek świata"** – Joanny Chmielewskiej – opowieść o dwóch panienkach, przypadła mi szczególnie do gustu. Mnóstwo przygód i oryginalnych pomysłów Teresk i Okrętki, jednocześnie miłość Robina do tej pierwszej, wszystko opisane z ogromnym humorem – sprawia, że dosłownie „połykam ją". Chociaż w wyobraźni spotykam się oko w oko z przestępcami, podróżuję kajakiem z przyjaciółką po Mazurach i poznaję pewnego młodzieńca o niebieskich oczach. A po przeczytaniu książki żałuję, że „moje" przygody się skończyły.

„Ani z Zielonego Wzgórza" nie potrzeba reklamować, jest lekturą każdej „szanującej się panienki". Długo zastanawiałam się, co wpływa na ogromną popularność tej książki. Sądząc po sobie, sprawia nam przyjemność czytanie o pięknej (moim zdaniem), mądrej i szlachetnej dziewczynie (prawdopodobnie wydaje nam się wtedy, że same takie jesteśmy), i o miłości, ale takiej ładnej, kiedy jeszcze wszystko jest niedopowiedziane. Każda z nas marzy o takiej wielkiej, szlachetnej miłości, ja też oczywiście. Wyobrażam sobie minę jakiegoś chłopca czytającego te wynurzenia, więc koniec, postaram się nie dawać już powodów do pobłażliwego uśmiechu.

Książka **„W 80 dni dookoła świata"** nie wyzwala już we mnie takich wzniosłych uczuć. Czytając ją, wybieram się wraz z bohaterem w podróż dookoła naszego globu ziemskiego, zwiedzam Europę, Amerykę: Północną i Południową, Afrykę, Azję, przeżywam mnóstwo przygód i w końcu wygrywam zakład (trochę ryzyka i hazardu nie zawadzi). A muszę tu nadmienić, że moim marzeniem jest zwiedzić cały świat, i to już chyba wyjaśnia, dlaczego z taką przyjemnością podróżuję po wszystkich kontynentach.

„Trylogię" wybrałam... No, właściwie trudno mi powiedzieć, dlaczego. Chyba jednak najbardziej mnie w tej powieści pociąga to, co jest dzisiaj niepowtarzalne. Już nigdy nie zobaczymy dzikich Tatarów, nie będziemy walczyć z Turkami, nigdy nie wyjedzie do boju wspaniała husaria Sobieskiego, nie spotkamy tak szlachetnych rycerzy – patriotów.

A ponieważ nic takiego nas w życiu nie czeka, dobrze jest choć na kartach książki pogalopować na rączym koniu przez „puszcze nieprzebyte", postrzelać z krócicy i pomachać szabelką, chociażby tak, jak Baśka Wołodyjowska.

na tropach tajemnic

KIM NAPRAWDĘ BYŁ SHAKESPEARE?

William Shakespeare (1564-1616), wielki pisarz angielski, a zarazem aktor, największy dramaturg świata, to postać wielce zagadkowa i tajemnicza.

Był czy nie był tym, za kogo się go uważa? Czy jest autorem przypisywanych mu dzieł należących do najznakomitszych w literaturze światowej? A może dzieła te pisał zupełnie kto inny, komu z pewnych względów zależało na utrzymaniu w tajemnicy swego autorstwa? Oto pytania, które od dwóch już wieków stawiają sobie szekspirolodzy.

Po raz pierwszy pytanie: „kim naprawdę był Shakespeare?" postawiono we Francji w drugiej połowie XVIII wieku. W ojczyźnie „wielkiego Willa", w Anglii, wątpliwości takie zrodziły się dopiero w wieku XIX, zainteresowano się tym także w Stanach Zjednoczonych. W roku 1877 Delia Bacon opublikowała opasły tom, w którym usiłowała dowieść, że pod nazwiskiem Shakespeare ukrywało się kółko wolnomyślicieli, któremu przewodzili: Franciszek Bacon, angielski pisarz, filozof i mąż stanu oraz Walter Raleigh, sławny żeglarz, polityk i pisarz. Autorka nie miała jednak na obronę swojego twierdzenia dostatecznie przekonywających argumentów. Jej koncepcja upadła, a ona sama zmarła w obłąkaniu.

Z kolei zrodziło się przypuszczenie, że pod nazwiskiem Shakespeare ukrywali się członkowie arystokracji angielskiej – hrabiowie Rutland i Derby – ale tych domysłów nikt nie potrafił dostatecznie udowodnić. Powstały dwa obozy: szekspirologów, którzy całą sprawę uważali za zwykłą brednię, i antyszekspirologów, broniących twierdzenia, że Shakespeare nie był autorem dzieł podpisanych tym nazwiskiem. Obydwu stronom znaczną trudność sprawiało to, że dane życiorysowe Shakespeare'a nader są ubogie, wiemy o nim bardzo niewiele. Sprzyja to oczywiście snuciu różnych domysłów i wątpliwości. Mimo swej fantastyczności niektóre z nich zasługują jednak na uwagę.

Wiemy na przykład, że człowiek, który nazywał się Wiliam Shakespeare, na miesiąc przed śmiercią sporządził niesłychanie szczegółowy testament. Nie zapomniał w nim o nikim z bliskich i przyjaciół, a do tego nie pominął najdrobniejszego przedmiotu znajdującego się w jego majątku. Daremnie tylko byłoby szukać w owym testamencie zapisu jego biblioteki. O niej ani słowa. Powstaje więc pytanie, czy wielki pisarz, obejmujący swymi dziełami kawał historii, mógł się obywać bez własnych książek? Czy mógł o nich w swej ostatniej woli zapomnieć, tym bardziej że książki stanowiły wówczas ze względu na swą rzadkość wcale niemałą wartość. Dlaczego, jeśli rzeczywiście był pisarzem, nie wspomniał w testamencie, komu zapisuje swoje własne dzieła, w połowie wydane już pod jego nazwiskiem, w połowie zaś czekające jeszcze na wydanie? Pamiętał o jakiejś glinianej czarce, a zapomniał o bibliotece, o licznych utworach? Czyżby nie uważał ich za swoją własność?

A oto inny zastanawiający szczegół. Dlaczego z okazji śmierci wielkiego pisarza nie pojawiły się okolicznościowe ody, pieśni, poematy, jak to nakazywał ówcześnie panujący zwyczaj? Mniej sławni, mniej dla literatury zasłużeni twórcy zostali nimi uczczeni. Dlaczego więc nie Shakespeare?

Francuski historyk Alain Decaux twierdzi, że jedyna wzmianka, jaka się ukazała po zgonie Shakespeare'a, to była krótka notatka w dzienniku zięcia pisarza: „Mój teść zmarł w czwartek". Cisza wręcz niezwykła otacza ten zgon. Pierwszy zbiór dzieł Shakespeare'a ukaże się dopiero w siedem lat po śmierci, a pierwsza biografia dopiero aż w sto lat po zgonie pisarza.

Są też inne pytania. Czy aktor, jakim był Shakespeare – aktor zresztą nie najwyższej klasy – mógł się tak znakomicie orientować w dworskich obyczajach, intrygach, arkanach wielkiej i małej polityki? Czy mógł mieć tak rozległą znajomość historii? Wiemy, że ów aktor dość kiepsko znał łacinę. Ulubionego Owidiusza czytał w przekładzie angielskim.

Czy więc rzeczywiście nazwisko owego aktora posłużyło tylko jako kryptonim dla kogoś innego? W ostatnich czasach utrzymuje się przypuszczenie, że człowiekiem, który pod tym nazwiskiem ukrywał swoje dzieła, był wspomniany już Franciszek Bacon, filozof i mąż stanu. Za panowania króla Jakuba I doszedł on do szczytów kariery politycznej i dworskiej, niestety, jednak wkrótce miało się okazać, że Bacon nie gardzi zwykłymi łapówkami. Został skazany na pozbawienie wolności. W więzieniu przebywał bardzo krótko, lecz utracił wszelkie godności i prawo powrotu do życia publicznego. Poświęcił się więc pisarstwu, co potomności przyniosło znaczną korzyść, prócz tego wynalazł nową metodę... szyfru. I to właśnie miało stać się dla antyszekspirologów koronnym argumentem, że pod nazwiskiem „wielkiego Willa" ukrywa się Franciszek Bacon. Autorem zaś książki broniącej tej tezy nie jest wcale znawca literatury angielskiej ani też historyk, lecz francuski generał Cartier, szef biura szyfrów we francuskim Sztabie Generalnym.

Z racji swego stanowiska Cartier był w kontakcie ze znawcami szyfrów w armiach sojuszniczych. Pewnego dnia otrzymał od amerykańskiego pułkownika Fabyana propozycję wykorzystania systemu szyfrowego Bacona, polegającego na

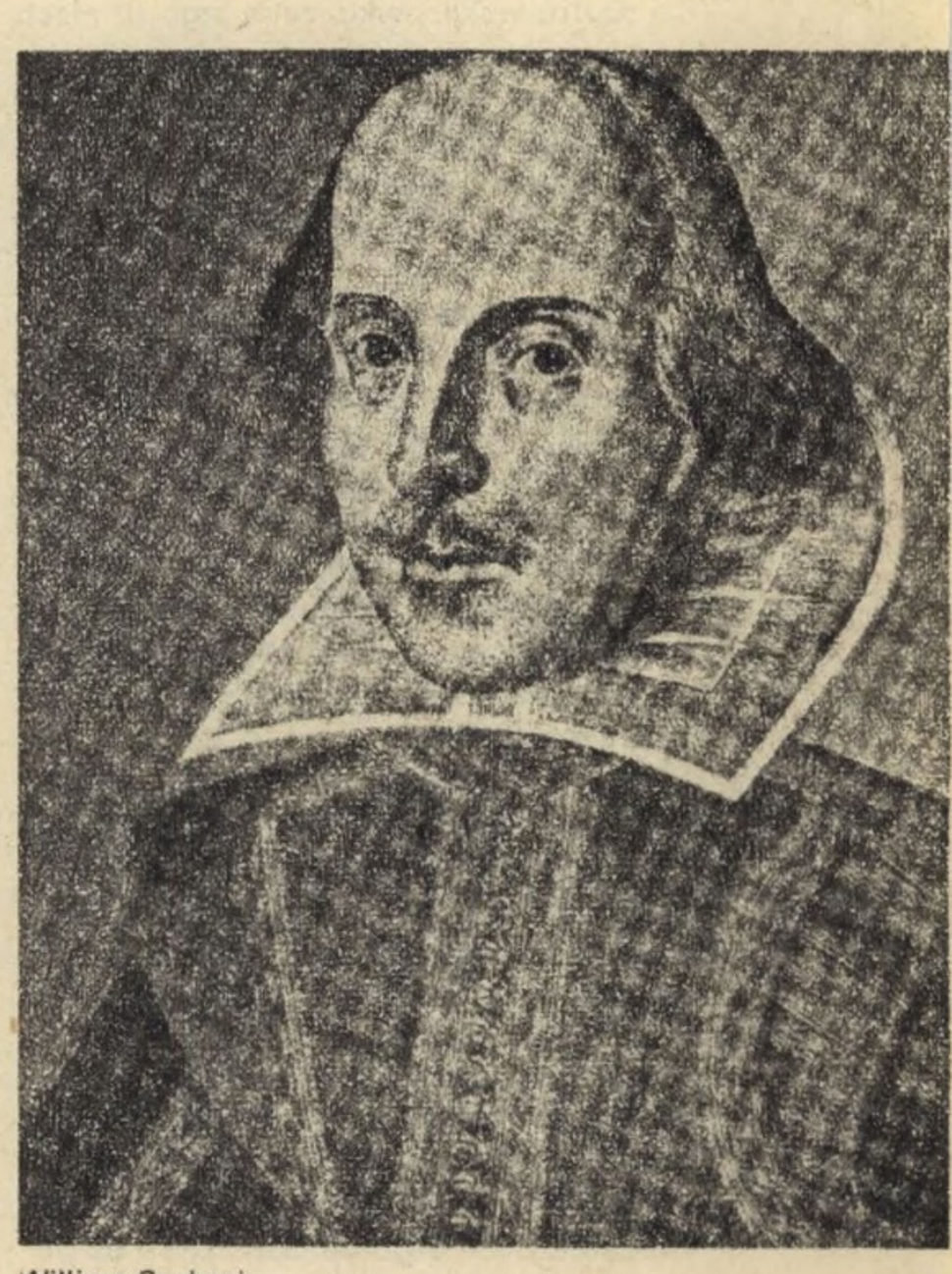

William Szekspir

Dom rodziny Szekspira w Stratford on Avon

tym, że w tekście nie budzącym żadnych podejrzeń niektóre litery kształtem swym różniły się lekko od innych i ułożone w słowa kryły właściwą, zaszyfrowaną treść. Fabyan zaproponował, by Cartier zechciał uważnie przestudiować wskazaną mu stronę słynnego dzieła Bacona „Novum Organum". Generał sięgnął po pierwsze wydanie tego dzieła, które ukazało się za życia autora, i pod lupą zauważył różnicę w kształcie niektórych czcionek, po czym odczytał szyfr ukryty w tekście. Niezwłocznie zawiadomił o tym Fabyana i odtąd ekipa szyfrantów w biurze pułkownika, z panną Gallup na czele, zaczęła pilnie studiować teksty Bacona. Samej pannie Gallup udało się znaleźć tym sposobem tekst tak rewelacyjny, że aż nieprawdopodobny. Bacon mianowicie ukrył za pomocą szyfru wskazówkę, że w jego dziełach rozsypany został jego zaszyfrowany życiorys.

Kilka lat zajęło pannie Gallup dotarcie do tajemnicy. Ostatecznie jednak wyśledziła ów życiorys, a w nim następujący fragment:

„Pisałem sztuki różnego rodzaju – historie, komedie i tragedie. Wystawiono dużą ich liczbę w teatrze i zdobyły bez wątpienia pod imieniem Shakespeare'a trwałą renomę... Dzieła już opublikowane, których jestem autorem, noszą jego imię, wolałem je od innych, choć przyznaję im równą zasługę. Ponieważ wystawiłem w jego teatrze pewną liczbę sztuk, będę to kontynuował, jako że niewolniczo poddaje się mojej woli".

Odczytanie szyfru sprzed kilku wieków stało się rewelacją. Odezwali się oczywiście krytycy, którzy całe odkrycie uznali za bezwartościowe. Z żarliwą obroną wyników „śledztwa" przeprowadzonego przez pannę Gallup wystąpili jej zwolennicy. A jaka jest prawda?

Wspomniany już Alain Decaux powiada, iż nikt dotychczas nie zdołał udowodnić, że intelekt Shakespeare'a nie dorastał do jego dzieł, nikt też nie przedstawił dostatecznych argumentów, które by potwierdziły, że napisanie przez Shakespeare'a jego dzieł stanowiło dla niego zbyt trudne zadanie i nikt – nawet Cartier, Fabyan i panna Gallup – nie dostarczyli dostatecznych dowodów na to, że Bacon ukrywał się pod nazwiskiem Shakespeare'a. Bo ten sam Bacon w swoim zaszyfrowanym życiorysie utrzymywał np., że był synem królowej Elżbiety I i bratem hrabiego Essexu, co już zakrawa na czystą fantazję.

Nie jest wykluczone, że świat usłyszy jeszcze ostateczne i nie podlegające wątpliwościom orzeczenie w sporze o Shakespeare'a. Ale w całej tej historii nie to jest w końcu najważniejsze, kto dzieła szekspirowskie napisał, tylko to, że dzieła te powstały i że stanowią drogocenny klejnot w kulturze światowej, czemu nikt nie może zaprzeczyć.

TADEUSZ ROJEK

GORĄCZKA W VII „A"

EDMUND NIZIURSKI **rys. Julian Bohdanowicz**

10

Z notatnika Tomasza Żabnego

Zeszyt IV (*ciąg dalszy*)

- **Kim są Agnita Dwojak i Bingo Cwajnos?**
- **Dziwne zachowanie Kiełbika**
- **Awantura w szatni**
- **A jednak kradzież!**

„Oczywiście, z tym Parkerem to lipa!" – pomyślałem, gdy ochłonąłem nieco. – „Nie ma żadnego Parkera ani w szkole, ani w mieście, prawdopodobnie Miecio naciągnął kogoś na forsę w sposób niezupełnie uczciwy i nie chce o tym mówić, albo po prostu świsnął komuś... W każdym razie sprawa jest nieczysta. Nie zdziwiłbym się, gdyby wynikły z tego dalsze komplikacje."

Z zamyślenia wyrwał mnie znajomy głos:

– Zaczekaj, Żaba.

Odwróciłem się.

Za mną biegł Lulo Rubin z Trajkotem.

– Czego chcecie? – zapytałem.

– Porozmawiać. Tylko dwa słowa.

– O Mietku?

– O Wyrzku – powiedział Lulo. – Byłeś przy tym, jak Gepard go pieścił?

– Owszem, widziałem przez okno.

– No i co? – spojrzał na mnie triumfalnie. – Czy po tym fakcie masz jeszcze jakieś wątpliwości?

– Raczej nie – odparłem chłodno.

– Czy coś postanowiłeś?

– Tak. Rozpędzam was na cztery wiatry.

– Jak to?! Cały zastęp?

– Tak.

– Chodzi przecież o Wyrzka...

– Tobie chodzi o Wyrzka, a mnie o wszystkich. Znudziło mi się. Dosyć! Uważam, że cały zastęp jest do bani. Przestaję się w to bawić. Naszą zabawę trzeba zacząć od początku i z trochę innymi ludźmi.

– Jesteś pewien? – zmarszczył brwi Lulo. Widać było, że moja koncepcja nie bardzo mu odpowiada. – Czy... czy to już postanowione?

– Tak. W niedzielę robimy pożegnalny biwak.

– Biwak?

– A co? – zasapałem. – Może mam wam wyprawić bal pożegnalny? Będzie biwak. Zresztą słabo tańczycie.

– Czy musisz w ogóle coś wyprawiać? – skrzywił się Lulo Rubin.

– Muszę. Taki jest zwyczaj. Na zakończenie zawsze się

robi jakąś imprezę. Więc będzie biwak na Dzikiej Wyspie.

– Tam są ptaki – zauważył Trajkot. – Już przyleciały z południa.

– Właśnie. Urządzimy polowanie na te ptaki. Oczywiście bezkrwawe, z kamerą i z magnetofonem...

– Ale... ale przecież... – Lulo miał wciąż obiekcje.

– Dosyć, jak cię nie interesuje, możesz nie przyjść – uciąłem. – A ty, Trajkot, zabierz swój magnetofon. Wiem, ze umiesz nagrywać głosy ptaków. Mam zamówienie od Szufli na gwizd kosa i arie drozda. Potrzebne do przedstawienia.

Przy sposobności nagramy także inne ptaki. Dwie, trzy taśmy. To potem można sprzedać do teatru i do filmu... – za parę ładnych patyków.

– Myślisz? – zainteresował się Trajkot.

– Jasne! Mówił mi Pulpet. On ma kuzyna w tej branży. Co masz nagrane do tej pory?

– Mam ziębę i skrzek sroki.

– Oraz kolegę A. F. Pajęckiego – uzupełniłem z kamienną twarzą.

– Co?

– Mówię, że nagrałeś także Pajęckiego. On ma do ciebie pretensję, żeś go nagrał bez pozwolenia.

Trajkot zmieszał się i zaczerwienił.

– Mówił ci?

– Był bardzo zdenerwowany. Próbowałem go uspokoić i wyjaśnić, „pewnie Trajkot wziął cię omyłkowo za ptaka" – powiedziałem, ale on nie dał się uspokoić.

– No, a teraz gadaj, czemu go nagrałeś?

– Tak sobie – Trajkot wzruszył ramionami.

– Tak sobie? – podniosłem głos. – Uważaj, Trajkot...

– Po prostu dla zabawy – bąknął. – A bo co?

– Masz dziwne zabawy, wiesz? I nie chodzi tylko o Pajęckiego. Mam też inne skargi. Męccy donieśli, że nagrałeś po kryjomu różne rzeczy, które mówili przeciwko Okulli. Po co to robiłeś?

Trajkot spuścił głowę i poczerwieniał jeszcze bardziej.

– Męccy mówią, że jesteś nędznym aj-aj, co nagrywa kolegów i sprzedaje Okulli...

– To kłamstwo! – podskoczył Trajkot. – Przysięgam, że nie...

– To dla kogo nagrywasz te taśmy?

Trajkot przygryzł wargi. Milczał.

– No widzisz, więc jednak dla gogów...

– Nie!... Nie! Nieprawda! – zaprzeczył gwałtownie.

– Chcesz, żebym ci uwierzył? Na jakiej podstawie, skoro widzę, że się bawisz w chowanego. Cześć! Nie będę cię żałował, jak cię spotka coś złego! – zrobiłem w lewo zwrot i chciałem przejść na drugą stronę ulicy, ale on doskoczył nagle do mnie i zatrzymał mnie na krawężniku.

– Zaczekaj!

Przystanąłem.

– Więc dla kogo nagrałeś?! – powtórzyłem spokojnie pytanie.

– Dla jednej takiej... – wykrztusił.

– Nazwisko?

– Nie znasz jej... Ona jest z innej szkoły... Za rok robi maturę. Licealistka... Kiedyś uczyła ją Okulla. Powiedziała, że chce na pamiątkę...

– Na pamiątkę?! Co ty bredzisz!

– Ona nie cierpi Okulli. Mówi, że kiedyś często płakała przez nią. Ale nigdy nie ośmieliła się nic powiedzieć na nią. Więc chce przynajmniej posłuchać, jak mówią inni...

– To jakaś wariatka – powiedziałem.

– Nie... niezupełnie – wykrztusił coraz bardziej zakłopotany Trajkot.

– I ty podjąłeś się dla niej tego rodzaju niskich usług?

– Mu... musiałem – wyjąkał – ona... ona kiedyś ba... bardzo mi pomogła... Bardzo.

– Czy powiesz wreszcie, co to za tajemnicza osoba?

– Nazywa się... A... agnita Dwojak.

– Agnita Dwojak? – zdziwiłem się.

– Mówiłem, że jej nie znasz.

Pokręciłem głową i spojrzałem na Trajkota uważnie.

– Od dzisiaj nagrywać będziesz tylko ptaki – powiedziałem. – Tylko ptaki – powtórzyłem z naciskiem.

Postanowiłem, że na biwak zabierzemy własne namioty i śpiwory. Nasz szczep nie ma sprzętu obozowego i po wszystko trzeba latać do hufca. Jak pomyślałem o całej drodze służbowej, że musiałbym najpierw obrabiać Pulpeta i Szymona, żeby oni z kolei urobili szczepową, żeby szczepowa załatwiła w hufcu, to mi się od razu odechciało. Nie, ten slalom pod górę odpada. Za dużo fatygi, a skutek w dodatku wątpliwy... Więc postanowiłem, że załatwimy we własnym zakresie. Boleniowie mają „Warsa 4". Darek załatwi u rodziców, a ja przyniosę naszą „Mewę"...

Po południu zrobiłem przegląd „Mewy" nie bez pewnego niepokoju. Wiedziałem, że po ostatnich wyprawach wakacyjnych moich sióstr będzie w dość opłakanym stanie. Lecz gdy wyciągnąłem namiot z worka, odetchnąłem z ulgą. Był starannie zreperowany, pozszywany i pocerowany. Niestety, załączona była do niego kartka, z raczej przykrym i niesmacznym oświadczeniem mamy:

„Użytkowanie przez mojego syna Tomasza surowo wzbronione do czasu odkupienia przez niego siedmiu śledzi i sześciu szpilek, które w sobie wiadomy sposób wykradł z zaplombowanego worka i utracił bezpowrotnie, jak wiele zresztą innych domowych rzeczy, po których przepadł wszelki ślad..."

podpisano:

„Matka".

Skrzywiłem się. To fakt, że zupełnie zapomniałem o tych kilku śledziach namiotowych i szpilkach, które pożyczyłem zeszłej jesieni, ale czy mama musi od razu w ten sposób? To jej typowe zagranie. Raz tylko wspomniała o tych śledziach, myślałem, że już o nich dawno zapomniała i że sprawa rozeszła się po kościach, a tu nagle taka niespodzianka. Zupełnie w stylu mamy. Nie da się ukryć, śledzie przepadły. Zwijaliśmy obóz w czasie ulewy i po ciemku, w dużym pośpiechu. No, więc przepadły. Normalny los śledzi, po co od razu robić historię? Naprawdę przykra małostkowość i pamiętliwość...

Wciąż jeszcze wzburzony wewnętrznie udałem się do sklepu sportowego, żeby odkupić te fatalne detale za pół tygodniowej pensji, której na szczęście nie zdążyłem jeszcze wydać. Byłem bardzo zdziwiony, gdy niedaleko sklepu, na rogu Kusocińskiego i Czecha ujrzałem Wyrzka i... Kiełbika. Wyrzek podrzucał w rękach pomarańczową, nowiutką piłkę nożną; wyglądała z daleka jak apetyczny, egzotyczny owoc. Kiełbik wyjął z kieszeni jakiś drobny przedmiot, chyba gumę do żucia, rozwinął z papierka i wetknął Wyrzkowi do paszczy. Po chwili żuli już obaj. Obserwowałem tę scenę najpierw z zaskoczeniem, a potem z rosnącym wzburzeniem. Cóż to za poufałe kontakty z lizusem? I żeby to robił ktoś tak dbający o swą opinię wśród ludu, jak Kiełbik? I skąd, do licha, taka wspaniała piłka w rękach Wyrzka?

Sapiąc ze zdenerwowania ruszyłem energicznie w ich stronę. Na mój widok Wyrzek przestał się bawić piłką i szybko czmychnął w głąb ulicy. Po chwili zniknął za rogiem. Na miejscu pozostał tylko wyraźnie zakłopotany Kiełbik.

– Ty z nim? – zaatakowałem go bezlitośnie. – Co to za konszachty z wyrakami?

– Ja? Ja tylko tak – wyjąkał Kiełbik. – Akurat przechodziłem i zobaczyłem, że on wychodzi ze sklepu z piłką...

– Akurat przechodziłeś?!

– Tak. Patrzę, a on z tą piłką. Więc zapytałem go, skąd wziął forsę na taką piłkę, co kosztuje pięćset złotych. A on powiada: „Bingo Cwajnos mi pożyczył"...

– Bingo Cwajnos?! – uniosłem do góry brwi ze zdziwienia.

– Bingo. Tak powiedział. To chyba jakieś przezwisko.

– Ale kogo?! Pierwszy raz słyszę... a ty?

– Ja też – przyznał Kiełbik.

– Zaczyna mnie to już denerwować – powiedziałem. – Już trzeci raz dzisiaj słyszę różne przezwiska, których nie znam. Miecio mówi o jakimś Parkerze, Trajkot o Agnicie Dwojak, a Wyrzek o Bingo Cwajnosie. Czy oni wszyscy się zmówili i nabijają się z nas, czy też my straciliśmy zupełnie kontakt ze światem i nie wiemy, co jest grane?

– Nie sądzę – wymamrotał zakłopotany Kiełbik.

– A co sądzisz?

Kiełbik rozłożył ręce. Wyraźnie nie bawiła go ta rozmowa. Patrzyłem na niego ze zdumieniem i troską. Zwykle był dociekliwy ponad normę. Specjalizował się w rozgryzaniu wszystkich zagadek szkolnych, pasjonował się nimi i miał zawsze jakąś odpowiedź pod ręką, zasypywał nas hipotezami, wszędzie doszukiwał się sensacji, a teraz... nic. Pojawiają się jakieś podejrzane typy: Parker, Agnita Dwojak, Bingo Cwajnos, a on „nie ma zdania", a on nic!

– Co ci jest? – zapytałem.

– Chory jestem, mówiłem ci... – jęknął Kiełbik.

– Wciąż ta grypa?

– Do... dopiero się chyba zaczyna – pociągnął nosem Kiełbik. Wyciągnął kraciastą chustkę i ostentacyjnie wytarł nos.

Coś mi tu nie bardzo grało.

– I tę grypę leczysz gumą do żucia? – zapytałem.

– Co?! – udał, że nie dosłyszał.

– Widziałem, jak obaj z Wyrzkiem beztrosko żuliście gumę.

– My?

– Ty i on.

– Ja?

– Dałeś mu żuwaczkę! Sam go częstowałeś.

– A bo co? Nie wolno mi?

– Wolno ci, ale to trochę dziwne. Zawsze byłeś przeciw temu aj-aj, a tu taka przyjaźń i poufałość.

– Ża... żadna przyjaźń – wykrztusił.

– A co?

– Po prostu... po prostu...

– No wydukże wreszcie jakieś przekonywające kłamstwo!...

– Po prostu... po prostu chciałem, żeby mi powiedział, dokąd w południe pojechał z Gepardem... to znaczy... gdzie go Gepard zabrał.

– I powiedział ci?

– Powiedział, że do lekarza, to znaczy na... pogotowie.

– Uwierzyłeś mu?

– Jasne, że nie.

– Tym bardziej dziwię się, że teraz pozwoliłeś mu odejść – powiedziałem. – Przecież wiedziałeś, że od dwu dni chcę

z typem porozmawiać... i nawet nie ruszyłeś się, jak on prysnął...

– Nie dałoby się go zatrzymać – mruknął Kiełbik. – A nawet gdyby mi się udało, to nic z tego by nie wyszło...

– Czemuż to?

– Bo on nie chce z tobą rozmawiać.

– Naprawdę?

– Obraził się.

– Za co?!

– Że go nie broniłeś, kiedy go przezywali, że sam go uważasz za lizusa i skarżypytę.

– A nie jest?

– On mówi, że nie.

– A ty, jak myślisz, Kiełbik?

– Myślę, że... że może faktycznie już nie jest.

– A był?

– Chyba tak...

– No właśnie. Czy on nie rozumie, że ma zepsutą opinię?

– On rozumie, ale nie rozumie, dlaczego nic nie robimy, żeby zwalczyć tę opinię... mówi, że to dlatego, że ty sam wierzysz w to, co o nim mówią...

– W co niby?

– Że on donosi Okulli.

Chrząknąłem nieco zakłopotany.

– Do wszystkich ma pretensję – powiedziałem. – A powinien zacząć od siebie. Niech on nie wykręca co trochę takich numerów jak dzisiaj na geografii, bo to tylko podtrzymuje te wszystkie plotki o nim! A co przylgnęło do niego raz, to nie tak łatwo odpadnie, choćbyśmy wszystkim dookoła wmawiali, że on jest czysty... Myśli, że zepsutą opinię można od razu naprawić, tak jak samochód, któremu zatkał się gaźnik...

– Albo nawaliła guma – dodał Kiełbik.

– Albo nawet... albo nawet samochód po wypadku... Blachę się wyklepie, wyszlifuje, zaszpachluje, zalakieruje i po zmartwieniu, ale opinię...

– Opinii nie da się raz dwa wyklepać – zauważył Kiełbik.

– Ani zalakierować... – mruknąłem. – Niech on nie będzie dzieckiem!

– On jednak chyba jest dzieckiem – rzekł z przekonaniem Kiełbik.

– Chyba tak, ale ja na to nic nie poradzę – wzruszyłem ramionami... – Facet jest dosłownie obrośnięty podejrzeniami, jak krzywy pień mchem... zapaćkany, zaklejony fałszywymi nalepkami, etykietkami tak, że nie widać go spoza nich... Trzeba dopiero miesiącami, ba, latami zdrapywać mozolnie jedną etykietkę po drugiej... i uważać jeszcze, żeby mu tymczasem nie przykleili nowej... powinien to zrozumieć i nie utrudniać przynajmniej, a on odstawia takie numery jak dzisiaj i wszystko na nic... i znów trzeba zaczynać od początku. To syzyfowa praca... ale ty na pewno nie wiesz nawet, kto to był Syzyf? – machnąłem zrezygnowany ręką. – Jest jeszcze jeden sposób – dodałem nagle. – Ale on tego nie potrafi...

– Jaki sposób? – zapytał Kiełbik.

– Dać wielką kontrę...

– Kontrę?!

– Musiałby zrobić coś wielkiego, niezwykłego, jakiś niesłychany czyn, który znokautowałby wszystkich prześladowców... zaskoczył cały lud! Strząsnąć za jednym zamachem, w jednej chwili wszystkie etykietki i naklejki z siebie! Metodą trzęsienia ziemi i bomby! Coś w rodzaju rakiety ziemia-ziemia! Rozumiesz? Odpalić taką rakietę!

Kiełbik patrzył na mnie oszołomiony, wytrzeszczonymi szeroko oczyma.

– Ale jak to zrobić?

– Właśnie. Jak? Gdyby coś takiego zdarzyło się na biwaku... Na biwaku zdarzają się różne rzeczy... Gdybyśmy wyzwali los...

– Wyzwali los?! – przestraszył się Kiełbik. – O czym ty mówisz?

– Musimy to rozpracować – powiedziałem. – Chodź!

Chciałem pociągnąć Kiełbika z sobą, ale on, ku mojemu zdumieniu, wyrwał się stanowczo.

– Nie mogę, Żaba, nie mam ani chwili czasu, już i tak jestem spóźniony... Lecę!

– Dokąd?!

– Umówiłem się.

– Z kim?

Kiełbik zawahał się, zaczerwienił.

– Lecę do internatu – ruszył naprzód.

Internat chłopców znajdował się w pobliżu, przy ulicy Kusocińskiego, akurat w odwrotnym kierunku.

– Kity wstawiasz! – wykrzyknąłem. – Tam nie ma żadnego internatu...

– Jest – Kiełbik zatrzymał się. – Ja... ja idę do internatu dziewcząt... – oznajmił. – Cześć, Żaba, wybacz, ale ja naprawdę nie mam czasu!

Pobiegł, a ja zostałem na chodniku oniemiały. Jak na człowieka z grypą, smarował nader sprawnie, czyżby dlatego, że do dziewcząt? Niesłychane... Nigdy bym nie pomyślał, że Kiełbik ma jakieś interesy w babskim internacie.

Środa, 25 kwietnia, 1979 r.

Znów zaspałem. Mama twierdzi, że to wyczerpanie nerwowe. Inna rzecz, że zbyt późno wziąłem się do odrabiania lekcji, a przez ostatnie dni uzbierało mi się zaległości, tak że wygrzebałem się dopiero o drugiej w nocy. No, i do tego rozpadało się na dobre. Nad nasze i tak strasznie szare i senne miasto nadciągnął jakiś mglisty, bardzo głęboki i bardzo usypiający niż, a ja jestem uczulony na niże. W rezultacie rano musiała mnie budzić siostra. Podobno była już za dwadzieścia ósma. Uwierzyłem jej na słowo, ponieważ i tak nie potrafiłem otworzyć oczu i sprawdzić. Półprzytomny, wciąż z przymkniętymi, klejącymi się powiekami, z uporem godnym lepszej sprawy, przez dłuższy czas próbowałem wpakować lewą nogę w rękaw koszuli, biorąc go za nogawkę spodni. Manewr ten powtarzałem trzy razy, co mnie kosztowało co najmniej dalsze dwie minuty zwłoki. Ochlapałem się pod kranem jedną łapą, otrzeźwiałem nieco, porwałem pajdę chleba ze stołu i bez śniadania wybiegłem z chaty.

Było już pięć po ósmej, gdy wpadłem do szkoły. Tu senność uderzyła we mnie nową falą. W szatni miałem omam. Wydawało mi się, że płynę po rozkołysanym morzu na transatlantyku. Właśnie jestem w kajucie i rozbieram się do snu po całonocnej wachcie. Jest zacisznie i ciepło. Ogarnęło mnie przemożne pragnienie, żeby się położyć... Już opadałem miękko na pościel, gdy nagle poczułem na czole zimny i mokry nos foki! Foka w mojej koi? Cóż to za głupie żarty! Wzdrygnąłem się, zerwałem na nogi i oprzytomniałem.

– Co ty wyrabiasz?! – usłyszałem głos Kiełbika.

Dopiero teraz spostrzegłem, że rozebrałem się cokolwiek za dużo, to znaczy, jak do snu... i chciałem położyć się na... szafkach!

Głos Kiełbika dobiegał gdzieś z dołu. Rozejrzałem się po szatni. Kiełbik kucał pod wieszakami. Trochę to mnie zdziwiło.

– Bawisz się w krasnoludka? – zapytałem.

– Szukam pieniędzy – odparł. Miał nader stropioną minę.

– Jakich znowu pieniędzy?!

– Od rodziców – mruknął. – Zostawili mi forsę, żebym zapłacił pilne rachunki i za kolonie...

– Znów wyjechali?

– Do Jaszowca. Mają ich tam doskonalić. Przez dziesięć dni – powiedział Kiełbik. Przebiegł na czworakach w drugi kąt szatni i zajrzał pod szafki.

Przyglądałem mu się sceptycznie.

– Jak to możliwe, żeby pieniądze wpadły ci pod szafkę?

– Mogły wpaść – wysapał – jak wywalili mi teczkę.

– Miałeś w teczce? Co ty?! Kto nosi forsę w teczce?

– To był bilon – powiedział. – Cały rulon.

– Rulon?

– Same dwudziestozłotówki zawinięte w papier, taki wałek, wiesz... Musiał gdzieś się potoczyć, jak mi wywalili na ziemię wszystko, co miałem w teczce...

– Kto ci wywalił?

– Nie wiem... czy to ważne? To było w czasie bitwy.

– Była bitwa?

– Jeszcze jaka!

Dopiero teraz zauważyłem podejrzany nieporządek w szatni. Wiele butów w różnych pozycjach koczowało na podłodzie, walała się porozrzucana odzież...

– Kto tym razem zaczął? – zapytałem. – Ciesie?

– Nie da się ustalić – odparł Kiełbik. – Ledwie wszedłem do szatni i zdjąłem kabat, ktoś mnie uszczypnął z tyłu...

– Naprawdę nie wiesz, kto?

– Przecież mówię ci, że mnie uszczypnęli z tyłu... Ale ja mam refleks, ty wiesz, jaki ja mam refleks, bracie, więc od razu odwracam się i odpowiadam błyskawicznym ciosem...

– Ciosem? Przecież nie wiedziałeś, kto cię uszczypnął. Więc w kogo walisz?

Spojrzał na mnie, jakby zdziwiony moimi skrupułami.

– Nieważne w kogo, grunt, żeby zareagować błyskawicznie. Więc od razu, bracie, łup w szczękę...

– To znaczy, uderzyłeś kogoś w szczękę na chybił trafił; w ciemno...

– W takich chwilach nie ma czasu na selekcję, bracie. Powiedziałem ci, błyskawiczna reakcja, refleks i szybki cios. To się liczy! Zawsze tak robię. Teraz też, jednego po zębach, drugiego nogą po goleniach, a potem jeszcze trzeciego kozłem w brzuch. Wszystko w ułamku sekundy! Szkoda, że nie widziałeś. Prawdziwe kung-fu, bracie! No, i potem to się zakotłowało na całego. Pierwszy ruszył na mnie Kocio Kocemba, bo to chyba jego kopnąłem w goleń. Ryczał jak zraniony karibu, a Lilka i Bogna okropnie piszczały. Wiesz, Kocio to jest niebezpieczny rzeźnik, więc wycofałem się strategicznie i schowałem za plecy Trajkota i Mietka Tyca. To była dobra pozycja. Mogłem stąd skutecznie bombardować tłuszczę buciorami. A Kocio z Ciesiami na Trajkota i Mietka! Krzyczą, żeby się rozstąpili. A Trajkot i Mietek nie chcieli. No, to tamci skoczyli na nich z płaszczami, zarzucili im na głowy i duszą... To ja na podłogę i za nogi ich! Wszyscy upadli, jeden na drugiego, kupa mięsa, mówię ci, a ja ich ćwiczę parasolem Bogny z doskoku, jak toreador byka. Dałbym pokaz, jak się tresuje Kocia, zdeklasowałbym go, strąciłbym go do rzędu najniższych palczaków, ale zaraz wpadł Gepard – te żeńskie makaki za głośno piszczały – więc wpadł spieniony Gepard, za karę ustawił wszystkich w pary i wyprowadził na apel, a mnie kazał zrobić porządek... Co za bitwa! Mówię ci! Gdybym ci opowiedział wszystkie detale...

Kiełbik podniecał się coraz bardziej. Z nim tak zawsze, jak raz zacznie, nie może skończyć. Wspomnienie niedawnej bijatyki pochłonęło go całkowicie. Nagle jakby zapomniał o zgubionych pieniądzach. Słuchałem go z mieszanymi uczuciami.

– Dobra, dobra – przerwałem mu wreszcie. – Kiedy indziej dokończysz, a teraz wróć do tematu. Co z tą forsą?

– No, właśnie, jak Gepard ich wyprowadził, zacząłem zbierać moje rzeczy... teczka leżała na podłodze, wszystko było wysypane. Od razu spostrzegłem, że rulonu z pieniędzmi nie ma... – przejechał linijką pod ostatnią szafką w kącie. – Ani śladu – zasępił się. – Przeszukałem dwa razy dokładnie każdy kąt, miejsce koło miejsca i nigdzie nie ma... Co ja zrobię?! – jęknął nagle, ukrył twarz w rękach, całym ciałem poczęły mu wstrząsać ni to dreszcze, ni szlochanie... – Co ja zrobię? – powtarzał płaczliwie. – Wszystko musi być zapłacone dzisiaj... Przepadną mi kolonie i kurs...

Patrzyłem na niego z troską. Znów ta nienormalna zmiana. „Histeryk – pomyślałem. Z człowieka zachłystującego się rozróbą w szatni i swymi przewagami nad Kocembą zmienił się nagle w żałosne, bezradne dziecko"...

– Bądź mężczyzną, przestań kwiczeć – powiedziałem. – Pieniądze na pewno się znajdą. Taki duży rulon to nie szpilka ani śrubka, co może wpaść w szparę...

– To co się z nim stało? – jęknął Kiełbik.

– Mógł ktoś zabrać...

– Chcesz powiedzieć, że podczas tego zamieszania ktoś skorzystał i... – urwał nagle i wpatrywał się we mnie wystraszony.

– I ukradł? – dokończyłem. – Niekoniecznie. Jeszcze nigdy nikomu, jak pamiętam, nie zginęły u nas pieniądze w szatni. Owszem, czasem ktoś zabrał coś przez pomyłkę, zamienił, książkę, zeszyt, długopis, szalik, nawet płaszcz, ale zawsze zaraz zwracał i przepraszał.

– Myślisz, że i tym razem...

– No, pewnie. Sam powiedziałeś: była ogólna bijatyka i kotłowanie. Ktoś zauważył, że po podłodze toczy się dziwna rzecz – rulon. Więc go podniósł, zaczął oglądać ciekawie, zanim zdążył zapytać, czyja zguba, już wpadł Gepard i wyprowadził wszystkich na apel... My też lepiej zasuwajmy na apel – powiedziałem. – Lepiej się pokazać choć pod koniec, zanim Szufla zobaczy, że nas nie ma. Potem w klasie zapytasz, kto znalazł w szatni rulon z forsą, i znalazca na pewno ci odda. Ile tego było? Dużo?

– Pięćset zet – mruknął Kiełbik. – Dwadzieścia pięć monet po dwadzieścia złotych...

Zmarszczyłem brwi.

– Mówiłeś, że musisz z tego zapłacić różne rachunki, za szybę i za obóz żeglarski...

– Tak, za telefon, za radio i telewizję, za komitet rodzicielski i za kolonie też – uzupełnił.

– I wszystko z tych pięciuset złotych? – wykrzyknąłem. – Coś tu nie gra! Sama szyba kosztuje ponad dwieście, wiem coś o tym. A za obóz trzeba wybulić blisko tysiąc.

Kiełbik wzruszył ramionami.

– Mam jeszcze dwa tysiące w wiatrówce – oznajmił dość beztrosko. – W kopercie, w kieszeni.

– Wiatrówka?!

– Tam, na wieszaku – wskazał. – Zwykle noszę w spodniach, ale bałem się, żeby mi ktoś nie wyciągnął w autobusie, więc przełożyłem do wewnętrznej kieszeni wiatrówki.

– I ta wiatrówka wisiała cały czas podczas tej bijatyki na wieszaku? – ogarnęły mnie nagle złe przeczucia.

– Cały czas – odparł. – Nie zdążyłem wyjąć tych pieniędzy, bo akurat mnie uszczypnęli i zaczęła się ta heca. Co tak patrzysz? – zaniepokoił się. – Myślisz, że...

– Nic nie myślę, ale sprawdź dla świętego spokoju. Dwa patyki, to nie przelewki...

Kiełbik rzucił się do wiatrówki. Wyciągnął z kieszeni niebieską, wypchaną kopertę.

– Jest! – wykrzyknął z ulgą. – Zobacz! – podtykał mi pod nos.

– Zajrzyj dla pewności do środka – powiedziałem.

– Myślisz, że...

– Powiedziałem ci już, że nic nie myślę, ale sprawdź!

Kiełbik nerwowo wyciągnął z koperty kilka rachunków, książeczkę opłat RTV, jakąś dużą złożoną we czworo kartkę zapisaną od góry do dołu – pewnie zlecenia od rodziców, spis rzeczy do załatwienia... Nagle dłoń mu zastygła w powietrzu... koperta wypadła mu z rąk na podłogę. Spojrzał na mnie blady jak płótno.

– Nie ma – wymamrotał przerażony. – Ukradli, łotry...

Osunął się na ziemię, ukrył twarz w dłoniach, znieruchomiał. Nagle zerwał się z krzykiem:

– Niech ja znajdę tego drania! Zatłukę, zatłukę! – zaczął bezradnie bić pięściami w ścianę.

(Cdn.)

CIEKAWE • ZABAWNE • NIEZWYKŁE

ZŁOTA MYŚL W RAMCE

Ten, kto się stroi
w cudze piórka,
niech nie liczy na to,
że mu wyrosną skrzydła.

Sławomir Mrożek

Poruszyć ręką... Wydaje się, że to coś całkiem prostego, ale czy zdajecie sobie sprawę, jaki przebieg ma tego rodzaju „operacja" w organizmie człowieka od momentu otrzymania polecenia z ośrodka mózgowego do uruchomienia mięśni? Jak to się odbywa – można obejrzeć na ruchomym modelu w Brytyjskim Muzeum Przyrodniczym w Londynie. Obok modelu znajdują się mikrofotografie ukazujące, jak w rzeczywistości kurczy się włókno pracującego mięśnia, oraz diagramy wyjaśniające, w jaki sposób układ nerwowy przekazuje mięśniom bodźce wprawiające je w ruch.

Model ręki znajduje się w dziale dotyczącym zjawisk ruchu i jest częścią stałej ekspozycji poświęconej biologii człowieka, noszącej nazwę: „O nas samych".

Każdy, kto odwiedzi to muzeum, rzeczywiście dowie się bardzo wiele o samym sobie, o budowie organizmu człowieka i o jego funkcjonowaniu. Na wystawie znajdują się ogromnych rozmiarów modele szkieletów ludzkich, mięśni i organów wewnętrznych, a na ścianach zobaczyć można w tysiąckrotnych powiększeniach komórki ludzkiego ciała. Są też i plastyczne modele komórek. Można je obejrzeć, a nawet wziąć do ręki, co nie w każdym muzeum jest dozwolone.

Można też wejść do wnętrza przyciemnionego pomieszczenia, którego sklepienie ma kształt czaszki, a wnętrze wyobraża mózg ludzki. Ściany pokryte są fosforyzującymi zdjęciami kory mózgowej. Tak więc zwiedzanie tego muzeum jest rzeczywiście wycieczką do wnętrza samego siebie.

▼

Dziewczęta nosi się na rękach! – Gdzie jest taki miły zwyczaj? – zapytacie pewnie. Odpowiadamy więc: w Nepalu, ale czy miły – nad tym można się zastanawiać. Po pierwsze – nosi się tam nie każdą dziewczynę. Chociaż uroda i wdzięk osobisty w tym przypadku nie grają roli. Chodzi o coś zupełnie innego. Otóż w kraju tym istnieje pewna sekta buddyjska otaczająca szczególnym kultem boginię życia – Kumari. Według wierzeń członków tej sekty bogini co pewien czas wciela się w młodą dziewczynę. Tylko specjalnie wykształceni kapłani potrafią wybrać taką dziewczynę spośród wielu. Ale takie wyróżnienie nie jest jednak dla niej specjalną radością. To prawda, otacza ją szczególna adoracja ze strony wyznawców sekty, ale też nie wolno jej biegać jak innym dziewczętom, nie wolno nawet dotknąć stopami ziemi. Dziewczęta, które spotkało to wyróżnienie, nosi się na rękach lub w specjalnych lektykach, a nad ich głowami rozpina się parasole. Na szczęście, nie trwa to zbyt długo, a mianowicie tylko do czasu osiągnięcia przez dziewczynę dojrzałości. Kiedy staje się kobietą, zaczyna normalne życie, a kapłani szukają nowego wcielenia bogini Kumari.

Zostań poszukiwaczem złota! Austriacy proponują wszystkim żądnym przygód poszukiwaczom szczęścia, aby udali się do miejscowości Heiligenblut, która była w okresie średniowiecza swego rodzaju „Eldoradem", wydobywano tam bowiem 4 tony złota rocznie. To oczywiście należy już do odległej przeszłości, ale ci, których nęci przygoda i chęć zdobycia fortuny, mogą jeszcze dziś spróbować szczęścia, uczestnicząc w specjalnych zawodach. Wyposażenie do kopania chętni otrzymują na miejscu. Organizatorzy zawodów nie gwarantują jednak powodzenia...

Order Wielkiego Zająca – to odznaczenie ustanowione przez argentyński klub iluzjonistów „Magico". Nadawane jest najlepszym światowym czarodziejom i mistrzom iluzji. Na pytanie, dlaczego to właśnie zając stał się uosobieniem magii, projektanci orderu odpowiadają, że w baśniach różnych ludów zając jest uosobieniem sprytu i pomysłowości. Dzięki temu wyprowadza w pole swoich przeciwników. O to samo chodzi iluzjonistom i dlatego ich symbolem stał się zając.

Jej wysokość Róża. Nazywa się ją, i słusznie, królową kwiatów, ale występuje w tylu odmianach, że trudno je wszystkie zliczyć. Jedno z największych rosariów na świecie w Sangerhausen (NRD) posiada sześć i pół tysiąca odmian róż. Rosną one na obszarze 12,5 ha i zachwycają barwą, kształtem i zapachem. Wśród tego bogactwa róż wyróżniają się jednak odmiany o szczególnej wartości. Taką osobliwością rosarium jest „czarnulka" wyhodowana w 1933 r. odznaczająca się kwiatami o barwie prawie czarnej. Konkurentką tej czarnej królowej do tytułu miss piękności jest odmiana „karneol", uważana za sukces hodowców róż z NRD. Najstarsza z kolczastych piękności – to róża „York and Lancaster" znana od roku 1551, wyhodowana po raz pierwszy przez hiszpańskiego zakonnika.

Rosarium w Sangerhausen udostępnia hodowcom owe stare odmiany róż, dzięki stałemu uszlachetnianiu dziczek. Potrzeba ich rocznie 10 tysięcy dla utrzymania własnego stanu posiadania i na wymianę z innymi placówkami tego rodzaju.

▼

Zdzisław Nowak

ZADANIE DLA KAŻDEGO

Prosty podział

Rzeczywiście, tym razem zadanie niezbyt skomplikowane. Ten oto kwadrat należy podzielić na dwie części, koniecznie jednakowej wielkości oraz identycznego kształtu, ale w taki sposób, ażeby w jednej z nich znalazły się cyfry parzyste, zaś w drugiej tylko nieparzyste.

1			5
		2	
		7	
4			6

ZADANIE DLA TĘGICH GŁÓW

Cztery połączenia

W tym zaś zadaniu – z rodziny łamigłówek labiryntowych – należy połączyć pola z takimi samymi literami (**a z a, c z c itd.**), lecz koniecznie tak, aby linie łączące poszczególne pary nigdzie się ze sobą nie krzyżowały, natomiast przebiegały przez wszystkie pola naszej miniplanszy. Czy uda się wam rozwiązać zadanie możliwie szybko?

	a					c	
		o			s		
		s			o		
	c					a	

ZADANIE Z ANEGDOTĄ

Rachmistrz i kupiec ormiański

Zaledwie mędrzec bucharski wkroczył na dziedziniec pałacowy, natknął się tuż za bramą na dwóch mężczyzn gadających głośno. To Ormianin o niezwykle pogodnym usposobieniu – co nieczęsto zdarza się wśród prawdziwych kupców – prowadził ożywioną rozmowę z głównym rachmistrzem skarbca, człekiem posępnym i mrocznym jak środek nocy. Z rozmowy wynikało, że kupiec ormiański nabył w Damaszku wspaniałe siodła końskie z wysokimi łękami, zdobione prawdziwym złotem oraz siodła wielbłądzie nabijane misternie ćwiekami ze srebra. Przywiózł je do Buchary, aby tutaj sprzedać cały towar na dworze emira.

– Ile przywiozłeś siodeł nabijanych złotem, a ile srebrem? Odpowiadaj natychmiast, handlarzu – pytał natarczywie rachmistrz o gębie ponurej, na której uśmiech nie gościł od wieków.

– Zaraz ci odpowiem, o czcigodny, bo to nic trudnego – odrzekł kupiec ormiański. I chcąc zażartować sobie z głównego rachmistrza, uzupełnił szybko: – Siodła nabijane czystym złotem przez potomków Saracenów wiozłem tu na czterech wielbłądach, natomiast siodła zdobione bogato srebrem wiozłem na pięciu dromaderach.

Rachmistrz zacisnął pięści.

– Nie baw się ze mną w durne zagadki, handlarzu – warknął gniewnie – lecz odpowiadaj wyraźnie na pytania.

– Ależ ja nic innego nie robię, tylko odpowiadam – kupiec ormiański grzmotnął się kułakiem w pierś, aż echo poszło po dziedzińcu. – Dodam jeszcze, urzędnicza osobo, że każde ze zwierząt garbonośnych przez całą drogę dźwigało jednakową ilość siodeł. A teraz sam sobie odpowiedz na stawiane pytania.

Rachmistrz skarbca spoglądał ponuro na rozbawionego Ormianina. W posępnej głowie rodziły się myśli gorączkowe. Żadna nie niosła jednak rozwiązania. Długo trwało, zanim urzędnik sapnął wreszcie z wściekłością:

– A jakim cudem mam obliczyć siodła, handlarzu zza pustyń, jeśli nie wiem, ile ich dźwigał na swym grzbiecie jeden wielbłąd?

Hodża Nasreddin uśmiechnął się szeroko. On znał już odpowiedź. Prawda, jemu było łatwiej. W drodze powrotnej z Fergańskiej Kotliny – skąd został odesłany przedwcześnie przez rozgniewanego władcę – zatrzymał się w herbaciarni grubego Ibrachima. Tam dowiedział się od przewodnika karawany kupieckiej, że Ormianin nabył w Damaszku siedemdziesiąt kilka sztuk saraceńskich siodeł.

* * *

A czy wam uda się odgadnąć, ile siodeł nabijanym złotem oraz ile siodeł zdobionych czystym srebrem przywiózł kupiec ormiański do Buchary?

ROZWIĄZANIE ZADAŃ
z nru 18

Karakuły Abdułły, Saida i Farrucha. Nieprzypadkowo w tekście zadania znalazła się opinia o Hodży Nasreddinie twierdząca, że był to mędrzec „również niezwykle spostrzegawczy". Pamiętacie, o co zapytał Hodżę pomocnik sędziego w drugiej części zadania? Ile sztuk owiec liczą stada Abdułły oraz Saida w chwili, gdy Farruch wycofał się ze sprzedaży ze swoimi owcami? A przecież ten sam pomocnik sędziego nieco wcześniej rzekł, iż „Abdułła i Said mają razem dwieście owiec karakułowych". Widzicie teraz sami, że w zadaniu nie trzeba było niczego liczyć. Wystarczyła tylko odrobina spostrzegawczości.

Dla spostrzegawczych... W przeciwieństwie do poprzedniego zadania, tutaj potrzebny był jedynie dobry wzrok. Na rysunku znajdowało się siedem świnek.

Taki sobie podział. Przykładowe rozwiązanie łamigłówki pokazujemy na rysunku.

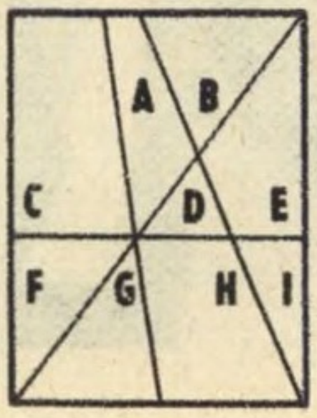

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z AFORYZMEM
z 18 numeru

POZIOMO: 3) Nowosądeczyzna, 5) anoda, 6) palto, 7) Wanda, 10) bańka, 11) pasta, 14) Praga, 15) krajan, 20) Jamno, 23) polo, 25) obawa, 26) zgrzyt, 27) Rugia, 28) lama, 29) akord, 32) dno, 33) sezam, 36) waga, 38) tran, 41) albinos, 43) tamus, 44) tkacz, 45) kantata, 47) praca, 49) kukła, 52) wybór, 54) ospa, 55) Opole, 57) północ, 58) Sarmata, 61) Egipt, 62) tabu, 64) Stomil, 66) seter, 67) ostęp, 68) powrót, 69) aster, 70) lawa.

PIONOWO: 1) Karpow, 2) Modlin, 3) namowa, 4) arcybiskupstwo, 8) Agata, 9) dukat, 11) pępek, 12) szafa, 13) agawa, 16) regle, 17) jazda, 18) nota, 19) Lato, 20) jard, 21) magma, 22) osada, 23) pilot, 24) lampa, 30) kabanos, 31) Ren, 33) szlak, 34) zamek, 35) maska, 36) wstawka, 37) gra, 39) reja, 40) Nida, 42) szprot, 46) aga, 48) chleb, 50) ubóstwo, 51) łan, 53) Bem, 54) ocelot, 56) patrol, 58) stopa, 59) ruszt, 60) aktor, 63) urna, 65) mur.

AFORYZM A. DUMASA: Odpoczynek, jak wszystko, kończy się zmęczeniem.

Rozwiązania nadsyłajcie pod adresem: Redakcja „Płomyk" – ul. Spasowskiego 4, 00-950 Warszawa, skr. poczt. 380. Na kopercie, obok adresu piszcze: Kto myśli nie błądzi nr 23.

SAMORZĄD i SAMORZ~~ĄD~~ życie

Zaproszenie dla nauczycieli

– Ty zawsze tak postępujesz, że trzeba się na ciebie gniewać!

– Czy ty się nigdy nie nauczysz prawa Archimedesa?

Tak mawiają nauczyciele i w ogóle – dorośli. **Złościsz się** słysząc ciągłe uwagi, przestrogi, polecenia. A Wy, co mówicie?

– Wszyscy dorośli zawsze chcą być mądrzejsi i ważniejsi.

– Nauczyciele nigdy nie mogą nas zrozumieć!

W jednych i drugich odezwaniach powtarzają się słowa „nigdy", „zawsze" w domyśle: „nigdy – nikt" i „zawsze – wszyscy". Mówiąc tak, lub słuchając, jak ktoś mówi, wiemy dobrze, że... są liczne wyjątki. Przecież i uczniowie, i nauczyciele **bywają różni.** Są nauczyciele, którzy znakomicie rozumieją uczniów i potrafią się z nimi dogadać. A więc: nie „wszyscy", nie „zawsze" i nie „nigdy". Czasem – tak, czasem – inaczej; jedni – tak, drudzy – owak.

Wasi nauczyciele (tak samo jak wy) są różni, bo po prostu różni są ludzie. Nie ma nauczyciela „w ogóle", jest natomiast ten, a nie inny: spokojny, nerwowy, miły, szorstki, wesoły, zamknięty w sobie, gaduła, milczek, wymagający, pobłażliwy, mający zawsze czas, zagoniony.

Popatrzcie dobrze na swoich nauczycieli. Ta pani, ogólnie uważana za groźną i niedostępną, jaka była wczoraj miła! Ten pan, który Was podobno nigdy nie rozumie, okazał się na wycieczce taki fajny, jakby był waszym kolegą. A zdarzyło się, że nauczycielka, która uważana jest powszechnie za uosobienie dobroci i wyrozumiałości, rozzłościła się nagle i powiedziała (wcale nie cicho), że ma Was dosyć.

Są różni. Ale mają kilka cech wspólnych. Między innymi: chcą Was pozyskać do współpracy. Chcą, żebyście byli trochę „żywsi" na lekcji. Żebyście uprawiali działkę szkolną nie tylko na stopień z biologii. Żebyście sprzątali w klasie, nie tylko na polecenie, ale żeby było po prostu czysto. Spróbujmy odwrócić sprawę. Jesteście samorządem. Spróbujcie Wy – swoich nauczycieli pozyskać do współpracy.

– To niemożliwe! Powiedzą, że nie mają czasu.

– Najpierw się zgodzą, a potem nic z tego nie będzie!

– Nasz pan powie, że to samorząd uczniów, to on nie chce się wtrącać!

– Jak wejdą na nasze zebrania, to będą znów nam swoje zdanie narzucać, rozkazywać, krytykować!

– Jesteśmy samorządni, więc obejdziemy się bez dorosłych. Mamy ich dość na lekcjach!

Słyszę, słyszę te utyskiwania, protesty, wątpliwości. Tyle, że pobrzmiewa w nich owo sakramentalne „każdy", „zawsze", „nigdy"... Wątpicie, czy da się zaprosić nauczycieli do współpracy z samorządem i mieć z tego prawdziwą korzyść? Jeden jest sposób na przekonanie się: spróbować to zrobić. Podjąć to niewielkie ryzyko. Jakie zresztą ryzyko? Nie zgodzą się, będzie jak dawniej.

Sami nauczyciele nie powiedzą nigdy (i ja użyłem tego niebezpiecznego słowa!), że są przeciw samorządności uczniów, albo że samorząd nic ich nie obchodzi. Ale jednak od Was zależy, czy nauczyciele będą OBOK samorządu, czy też RAZEM z samorządem uczniów. Jeśli zechcą, to na pewno mogą Wam pomóc, a nawet uczestniczyć w pracach, których się podjęliście. W niektórych pracach, tylko tych, przy których potrzebny jest ktoś z większym doświadczeniem.

Jeśli chcecie ustalić dyżury do podlewania kwiatów – to byłoby śmieszne, gdybyście do pomocy wołali nauczyciela. Ale jeśli chcecie inaczej urządzić świetlicę albo kupić coś z funduszów szkoły – bez dorosłych się nie obejdzie. Trzeba nie tylko pozwolenia dyrektora czy wychowawcy klasy, często trzeba doświadczonej rady. Od posłuchania czyjejś rady nie spadną Wam „samorządne korony" z głów!

Jeśli jednak nie pracujecie RAZEM z nauczycielami, tylko OBOK, to najczęściej mamy taki obrazek: delegacja samorządu wystaje pod dyrektorskim gabinetem, żeby „wytargować" pieniądze na zakup głośników do dyskoteki. Gospodyni klasy prosi wychowawczynię w imieniu samorządu o pozwolenie wywieszenia gazetki w sali lekcyjnej, a nie na korytarzu, bo tam niezindentyfikowani osobnicy z innych klas dopisują głupstwa... Występujecie w roli klientów, którzy mogą być załatwieni odmownie. Czy to przystoi samorządowi? Samorząd – to współgospodarz szkoły lub klasy, a tu – targuje się, wyprasza.

Zupełnie inaczej rozmawia się z nauczycielem, który został przez was POZYSKANY do współpracy. To nie „u niego" załatwia się różne sprawy, to załatwia się je razem z nim. Jest to naprawdę duża różnica!

...Od czego zacząć? Od przejrzenia wszystkiego tego, co planujecie zrobić w najbliższym miesiącu czy półroczu. Wśród tych planów będzie niejedno zamierzenie, które przerasta wasze siły albo „przekracza wasze kompetencje", czyli że trzeba będzie prosić o pozwolenie... **Zamiast prosić** o pozwolenie, o pieniądze, o kąt w szkole – zaproście wybranych nauczycieli do WSPÓŁPRACY. Do zajęcia się razem z wami taką jedną czy drugą sprawą, w której muszą uczestniczyć i dorośli, i uczniowie, jeśli ma się plan udać.

...Od kogo zacząć? Myślę, że od wychowawcy klasy. Myślę, że od opiekuna samorządu szkolnego. Jeśli się nie mylę – to osoby te właśnie czekają na taką inicjatywę z waszej strony. A jeśli ani oni, ani inni nauczyciele nie czekają na tę waszą inicjatywę? Jeśli wolą pozostawać OBOK zamiast być RAZEM? To już sam nie wiem.

To może dajcie im do przeczytania ten felieton.

SENIOR

COŚ DLA MOTOHOBBISTÓW

NOWOŚCI RADZIECKIEJ MOTORYZACJI

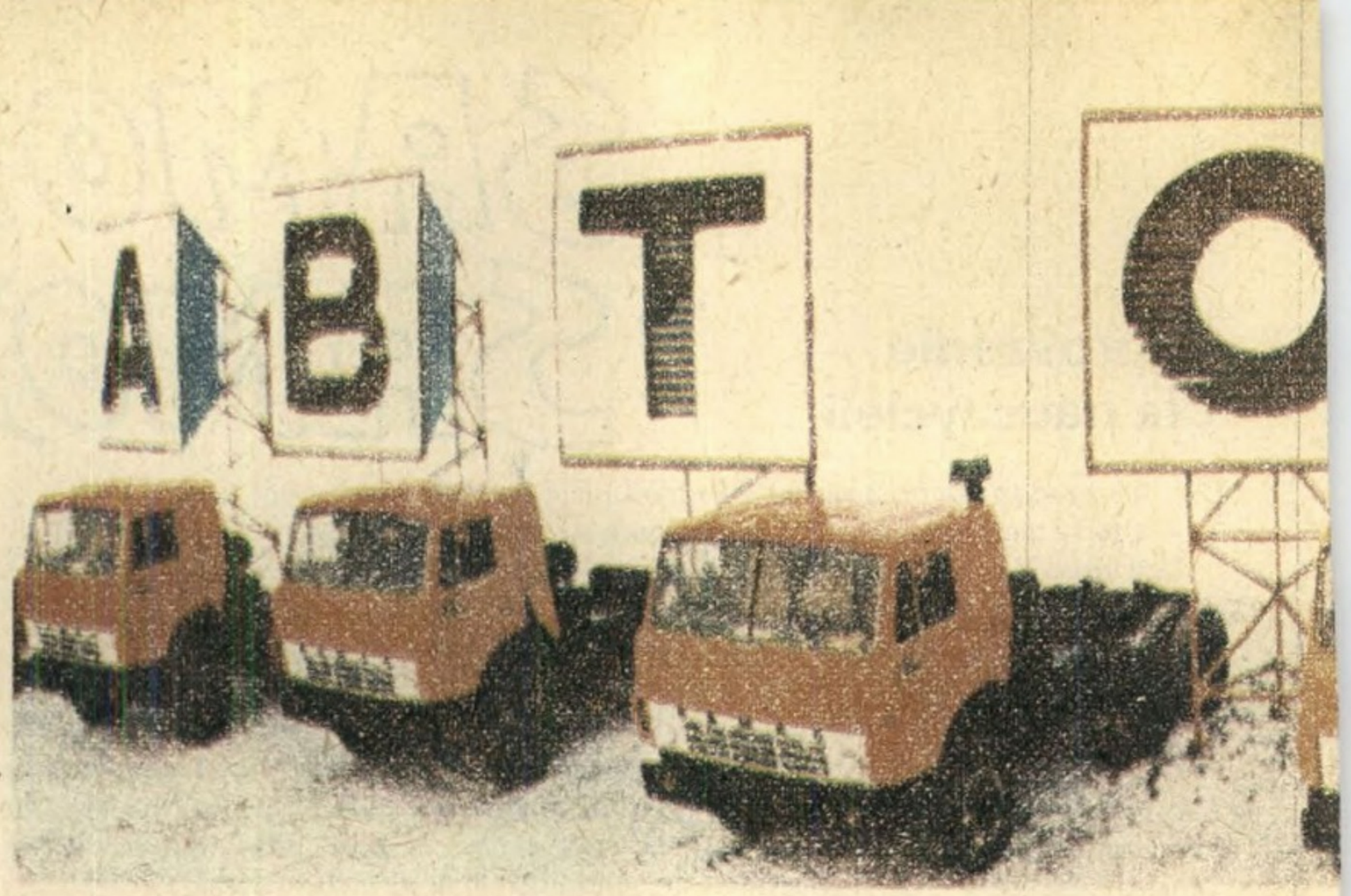

Wśród zagranicznych samochodów poruszających się po polskich drogach najliczniejszą grupę stanowią pojazdy wyprodukowane w ZSRR. Kupujemy w Kraju Rad zarówno samochody osobowe, jak i ciężarowe. Polskie samochody także znane są na drogach radzieckich. Wzajemne zakupy samochodów nie są jedyną formą współpracy w tej dziedzinie. Kooperacją objęte są także części do samochodów. Do Związku Radzieckiego wysyłamy np. produkowane w Polsce amortyzatory dla Łady oraz elementy skomplikowanych układów hamulcowych do samochodów ciężarowych marki „Kamaz". Z ZSRR otrzymujemy m. in. szyby oraz różnego rodzaju uszczelki gumowe potrzebne do produkcji naszych samochodów ciężarowych.

Współpraca pomiędzy polskim i radzieckim przemysłem motoryzacyjnym trwa już od ponad 30 lat. Na podstawie licencji zakupionej w ZSRR została rozpoczęta w Warszawie na Żeraniu produkcja samochodów osobowych „Warszawa", a w Lublinie, w dzielnicy Tatary, produkcja licencyjnych samochodów ciężarowych „Lublin". Obie fabryki rozpoczęły produkcję w 1951 roku.

Zainteresowanie radzieckimi samochodami w Polsce jest duże. Każda nowość ciekawi zarówno fachowców, jak i miłośników motoryzacji. Dlatego właśnie prezentujemy zdjęcia kilku nowych modeli, pokazując dla porównania podobizny ich poprzedników.

Jeszcze niedawno w Związku Radzieckim dość swobodnie gospodarowano paliwami płynnymi. Kraj ten dysponuje przecież dużymi ich zasobami. Ale ropę naftową trzeba wydobywać obecnie z pokładów za Uralem. Wydłużył się więc transport ropy, wzrosły jej ceny i powstała pilna konieczność oszczędzania tego coraz bardziej cennego źródła energii. Konstruktorzy samochodów musieli na to zareagować. Dlatego też w Związku Radzieckim podjęto intensywne prace nad obniżeniem zużycia paliwa zasilającego silniki samochodów. Trwają prace nad zastąpieniem „paliwożernych" silników benzynowych, stosowanych dotychczas w samochodach ciężarowych, przez ekonomiczne silniki wysokoprężne. W ten sposób można uzyskać wielkie oszczędności. Są już pierwsze rezultaty podjętych prac. W Związku Radzieckim coraz częściej widuje się ulepszone ciężarowe ZIŁ-y, wyposażone w silniki wysokoprężne.

Oszczędności paliwa należy szukać nie tylko w konstrukcji silników. Samochody będą oszczędniejsze w eksploatacji, jeśli zmniejszymy ich ciężar własny, a osiągnąć to można unowocześniając poszczególne elementy konstrukcji. Wiąże się to z kolei z zastosowaniem lepszych materiałów – lżejszych i bardziej wytrzymałych. I tak dochodzimy do pełnej modernizacji samochodu.

Jednym z najbardziej nowocześnie skonstruowanych

WAZ-2105 Łada ▲

WAZ-2101 Łada ▶

Rok temu obiegła fachową prasę wiadomość, że Związek Radziecki zamierza uruchomić produkcję zupełnie innych, niż dotychczas wytwarzane, samochodów Łada. Mają one mieć całkiem inne nadwozie, a napęd otrzymają na przednie koła. Kiedy ukaże się pierwsza seria, trudno przewidzieć. Związek Radziecki nie ma bogatych tradycji w konstruowaniu nowych pojazdów. Podobnie jak w Polsce, wielkoseryjną produkcję samochodów osobowych uruchomiono w oparciu o zakupioną we Włoszech licencję.

Podobnie było przed 50 laty z uruchomieniem wielkoseryjnej produkcji GAZ-ów, które oparto na amerykańskiej licencji. Obecnie przy projektowaniu nowych radzieckich pojazdów

GAZ-3102 Wołga ▼

GAZ-24 Wołga ▶

radzieckich samochodów ciężarowych jest KAMAZ

Na drogach radzieckich coraz częściej widuje się nową Wołgę typ 3102, a także ulepszonego Moskwicza 2140 Lux. Rzadko widywaną nowością jest luksusowy model samochodu Czajka GAZ-14. Jest on produkowany już od kilku lat, ale w bardzo małej liczbie, wyłącznie do celów reprezentacyjnych.

Związek Radziecki znajduje się na trzecim miejscu wśród największych producentów samochodów ciężarowych w świecie (po Japonii i Stanach Zjednoczonych). Ostatnio pojawiło się sporo nowości wśród radzieckich ciężarówek. Produkowany jest wspomniany już nowy ZIŁ 133GJa, wyposażony w oszczędny, wysokoprężny silnik i trzy osie kół. Ładowność nowego ZIŁ-a wynosi 10 ton. Fabryka w Mińsku wyprodukowała nowe odmiany znanych u nas MAZ-ów. Są to samochody modelu 6422, które mają unowocześnioną kabinę kierowcy, przystosowaną do ruchu międzynarodowego. Także fabryka w Kremieńczugu opracowała nowy, ładniejszy model samochodu KRAZ-260, o ładowności 12 ton.

Zaprezentowane radzieckie samochody nie są zupełnie nowymi konstrukcjami. Produkując dużą liczbę pojazdów różnych typów bardziej warto je ulepszać niż opracowywać zupełnie nowe modele.

Na zdjęciach KOLOROWYCH przedstawiamy nowe modele niektórych radzieckich samochodów, a na zdjęciach JEDNOBARWNYCH – ich dawniejsze wersje.

ZDZISŁAW PODBIELSKI

(Fot. autora i Avtoexport)

Moskwicz-412 ▼

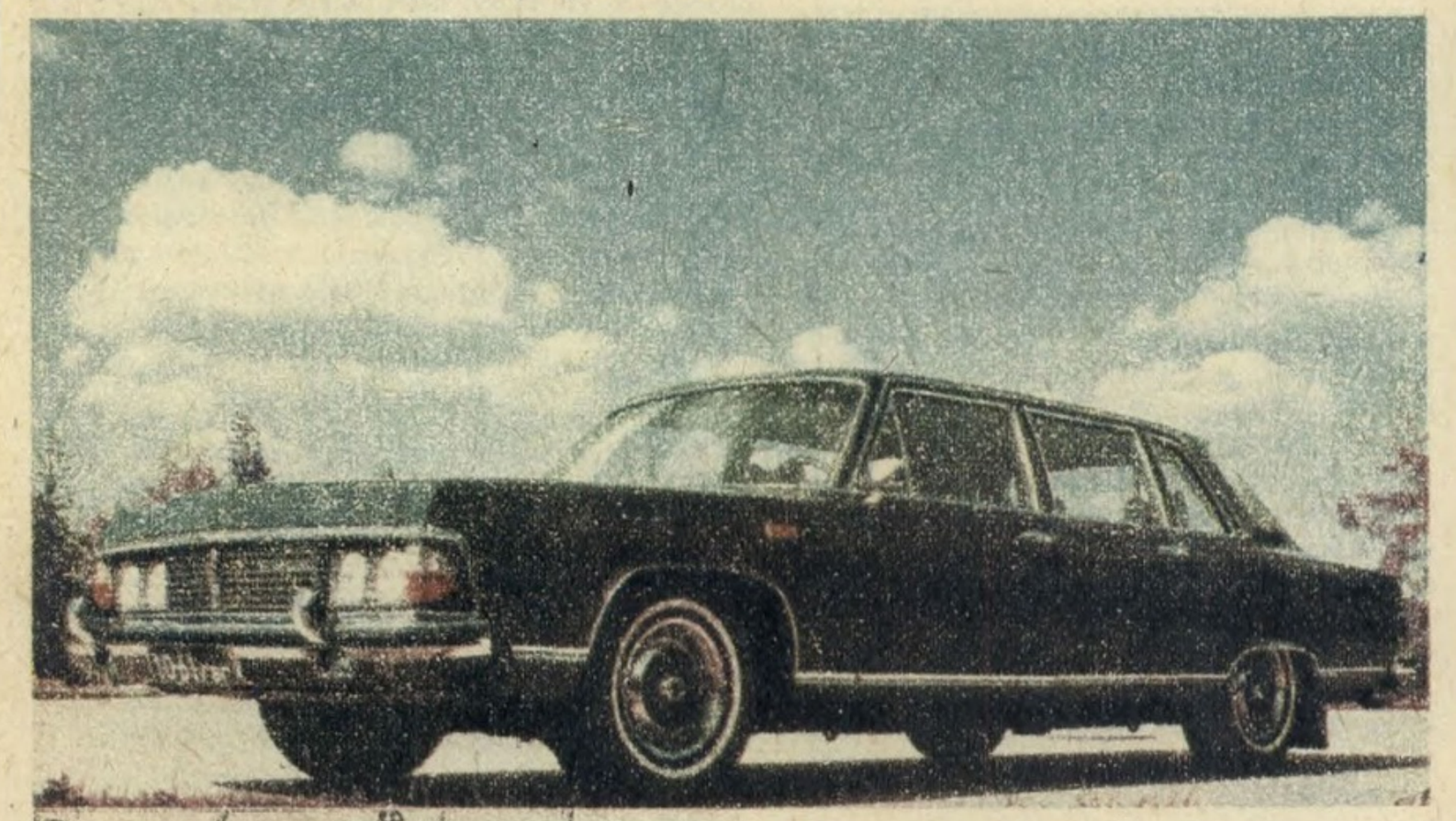

◀ GAZ-13 Czajka

GAZ-14 Czajka ▲

współpracują wybitni konstruktorzy z firm takich, jak Porsche i Volkswagen.

Radzieccy konstruktorzy zdobywają też doświadczenie modernizując licencyjne samochody. W bieżącym roku rozpoczęły się dostawy do Polski zmodernizowanych samochodów z wielkiej fabryki w Togliatti. Są to nowe modele znanej Łady, które noszą oznaczenie WAZ-2105. Czeka też na wprowadzenie do produkcji inny zmodernizowany model Łady, oznaczony symbolem WAZ-2107.

◀ Moskwicz-2140 Lux

◀ MAZ-500

MAZ-6422 ▼

POCZTA »PŁOMYKA«

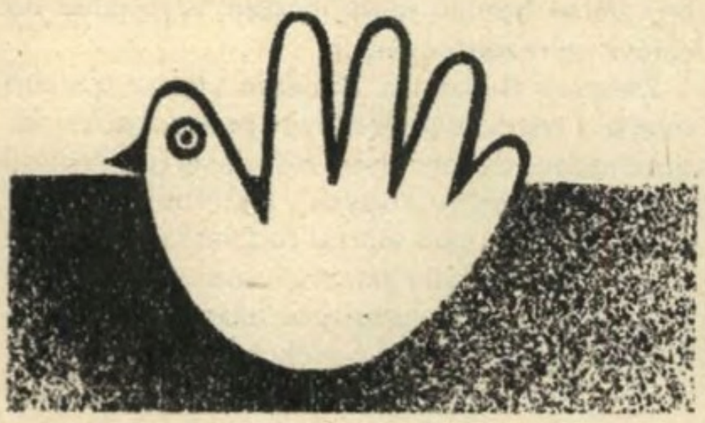

Za duża rodzina?

Piszę do Was abyście mi poradzili co mam robić, bo ja już sama nie wiem. Mam 15 lat i dwie młodsze siostry, czasem sprzeczamy się ze sobą, ale nie na długo. Bardzo je kocham, ale uważam, że jedna by mi wystarczyła. A teraz niedawno dowiedziałam się, że będę mieć jeszcze siostrę lub brata! Oto cały mój problem. Ja nie chcę i nie mogę o tym myśleć, nawet wyobrazić sobie tego nie potrafię. Już teraz wstydzę się z rodzicami i z dwoma siostrami wychodzić na spacer, gdyż uważam, że nasza rodzina składająca się z pięciu osób jest za duża. A teraz ma być jeszcze więcej. Nie wiem, co się ze mną dzieje. W ogóle mi się odechciało żyć i uczyć, a jak chcę się wziąć w garść, to nie mogę.
Wcale nie jestem samolubem, w klasie uważa się mnie za bardzo towarzyską i koleżeńską. Więc co się teraz ze mną dzieje?

„Załamana"

Ani rodziców, ani rodzeństwa nikt sobie nie wybiera. Można więc powiedzieć, że sprawy te nie powinny podlegać dyskusji. A więc zastanawianie się nad tym, czy mam za dużo o jedną siostrę, lub za mało o jednego brata jest bezsensowne. Trzeba umieć odnaleźć swoje miejsce w rodzinie takiej, jaką się ma. Wcale nie jest powiedziane, że lepiej układają się stosunki w małych rodzinach. Oczywiście, szczególnie w obecnych warunkach, wielodzietnym rodzinom jest trudniej związać koniec z końcem. Ale, jak wynika z tego, co piszesz – nie obawiasz się obniżenia standardu życia, nie kieruje też Tobą zazdrość tylko „z zasady" nie odpowiada Ci model licznej rodziny. Wydaje nam się jednak, że jeszcze inna jest przyczyna Twego niezadowolenia i rozgoryczenia. Przeżywasz, jak to często bywa w tym wieku, okres „buntu i protestu" przeciwko wszystkiemu, co Cię otacza. Wydaje Ci się, że wszystko jest bez sensu i obraca się przeciwko Tobie. Czujesz się nie zrozumiana i osamotniona, odechciewa Ci się nie tylko uczyć, ale po prostu żyć...
Jest na to tylko jeden sposób, ktorego próbujesz, na razie bezskuteczne: „wziąć się w garść" i nie poddawać się nastrojom. Kto wie, może „rewolucja", jaka towarzyszyć będzie powiększeniu się rodziny, wprawdzie skomplikuje Wasze życie, ale przyniesie Tobie samej wiele nowych, głębokich i wartościowych przeżyć. Obecność malutkiego dziecka w domu i wspólna troska o nie, może dopomóc Ci w przezwyciężeniu własnego kryzysu. Spróbuj od tej strony spojrzeć na tę sprawę.

Prezent dla wysokiej brunetki...

Proszę Was o radę. Niedługo moja koleżanka obchodzi urodziny i imieniny. Jestem zaproszona do niej, ale nie wiem, jaki dać jej upominek. Co można ofiarować koleżance (bardzo ją lubię i cenię), która ma 14 lat i chodzi ze mną do tej samej klasy (do VIII). Jest ładną, wysoką brunetką, dobrze się uczy, jest w ogóle bardzo fajna. Nie myślę o prezencie za kilka tysięcy, ale o upominku powiedzmy w granicach 50–200 zł.
Co można też kupić koledze na imieniny lub urodziny, który ma lat 15 i którego także bardzo lubię?

Agnieszka Nowak

Uniwersalnym prezentem (dla blondynek, brunetek, wysokich i niskich) była zawsze dobra książka. Jeśli więc uda Ci się upolować coś w księgarni – to możesz uszczęśliwić w ten sposób zarówno koleżankę, jak i kolegę. Ostatnio weszło w zwyczaj ofiarowywanie pojedynczego, symbolicznego kwiatka (i to zarówno chłopcy – dziewczętom, jak i dziewczęta – chłopcom; tylko chłopcy – chłopcom nie). Sympatycznymi prezentami są zawsze jakieś breloczki, maskotki (własnej roboty!) Chłopcy też noszą teraz takie ozdoby.

Nie mogę wytrzymać!

Zawsze z zaciekawieniem śledziłam Pocztę „Płomyka", jednak nigdy nie myślałam, że i ja będę zmuszona kiedyś prosić o radę. Zaczęło się to wszystko w siódmej klasie. Ciągłe przypominanie rodziców – „Czy lekcje masz odrobione? Czy jesteś nauczona?" O ruszaniu się z domu nie było mowy. Koleżankom na szczęście było wolno do mnie przychodzić, jednak nie na długo, bo muszę się uczyć. Koleżanki chodziły do kina, wychodziły na dwór i jakoś znajdowały czas na naukę, ale mnie nie wolno było. Jakoś przebolałam tę siódmą i ósmą klasę. Jestem teraz w klasie I LO i nie mogę wprost wytrzymać. Uczę się dobrze i nie mam złych stopni. Rodzice natomiast coraz bardziej przypominają mi o nauce. Już teraz nie wystarczy odpowiedź: „Mam odrobione lekcje. Jestem nauczona". Oni muszą mnie widzieć od rana do wieczora nad książką, no przepraszam, z wyjątkiem przerw na posiłki. Naprzeciwko mnie mieszka moja bliska koleżanka. I ona także zaczęła mówić, że rodzice traktują mnie jak małe dziecko. O każdą wolną minutę dla siebie muszę się wykłócać. Nie wyobrażacie sobie, jak ciężko jest wydostać się z domu na 2 godziny do kina. Moja bliska koleżanka poszukała już sobie innego towarzystwa, bo ja nie mam nigdy czasu... Błagam pomóżcie!

Danka – „domatorka"

Opisana przez Ciebie sytuacja wygląda dosyć niejasno. Nie wiemy, czy rzeczywiście musisz siedzieć tak długo nad lekcjami, żeby zapewnić sobie dobre stopnie, czy też uważasz, że jest to zbędne. Sprawa musi być wyjaśniona w bezpośrednich pertaktacjach z rodzicami. Nie chodzi przecież o „wysiadywanie" nad książką, lecz efektywne, sprawne, szybkie uczenie się. Wiadomo, że po paru godzinach ślęczenia nad książką lub zeszytem bez koniecznych przerw relaksowych (jak przerwy w szkole) – przychodzi zmęczenie i efekty pracy są mizerne. Wszyscy psychologowie zalecają spacer po obiedzie, a przed popołudniową nauką. A więc podobnie powinien wyglądać Twój rozkład dnia. Zaproponuj rodzicom, żeby przestali stosować system „dniówkowy" (wyliczając godziny pracy) i żeby uwierzyli, że praca na akord również przy odrabianiu lekcji zachęca do lepszej wydajności. Musisz to jednak udowodnić, a wówczas rodzice zaczną Ci więcej ufać, a Ty zyskasz więcej wolnego, swobodnego czasu.

Budżet nastolatka

Kiedyś na łamach „Świata Młodych" odbywała się dyskusja na temat wysokości miesięcznej pensji nastolatka. Przed podwyżkami jednemu wystarczała stówa, inny potrzebował aż 1000 zł. Teraz sprawa wygląda zupełnie inaczej.
Od kiedy jestem w LO rodzice podwyższyli moją pensję do 500 zł. To jest na moje tzw. drobne wydatki. Te moje drobne wydatki ograniczone do minimum wynoszą 439 zł. Kupuję za tę sumę czasopisma, jak „Panorama" (4×25 zł), „Razem" (4×25 zł), „Świat Młodych" (12×5 zł). „Płomyk" (2×12), i już zostaje mi tylko 216 zł. Przyjmijmy, że kupię co drugi numer „Panoramy" „Razem", ale raz w miesiącu idę do kina (100 zł). Kilka razy w miesiącu kupię pączka lub lody i już jestem bez pieniędzy, bo muszę dużo jeździć tramwajami i autobusami. A za co kupię kwiaty na urodziny, imieniny koleżanki? Za co kupię spinki do włosów? Nie mogę sobie pozwolić na kupno żadnej poważniejszej książki (obecnie ok. 100 zł), ani kupić płyty, ani kasety, ani... ani... ani... Chciałabym, żeby do „Płomyka" napisały inne osoby, co myślą na ten temat.

Sabina z Wrocławia

Niech napiszą! Obok adresu prosimy dopisywać „Mój budżet".

Człowiek musi kogoś mieć...

Chodzę do VIII klasy. Mam wielki kłopot. Nie mam przyjaciółki ani przyjaciela. I to jest moje największe zmartwienie. Rodzice twierdzą, że jeżeli nikt się ze mną nie przyjaźni, to muszę wziąć się pożądnie do nauki. Ale ja tak nie mogę. Przecież człowiek powinien mieć kogoś, komu ufa, i na kim może polegać, z kim mógłby płakać i cieszyć się. I cóż ja mam robić? Proszę Was, pomóżcie mi. Proszę Was o wydrukowanie tego listu. Może ktoś z czytelników znajdzie radę na mój wielki kłopot.

„Iza"

Chłopaki, odwagi!

Tyle się pisze na temat dziewcząt, ich nieszczęśliwych miłości, niepowodzeń sercowych spowodowanych niecelnym strzałem Amora. Ukazał się nawet w nrze 12 artykuł pt. „Jak być nieszczęśliwie zakochaną". Dlaczego by więc nie mógł ukazać się artykuł pt. „Jak być nieszczęśliwie zakochanym"? Czyżby Amory celujące w chłopców były tak niezręczne, że nie trafiają i nie przynoszą im żadnych utrapień i zgryzot? Otóż nie.
Niektórzy, ci bardziej nieśmiali i skryci chłopcy również cierpią z powodu nieudanych miłości, lecz cierpią w ciszy i potulnie. Na łamach najróżniejszych czasopism ustępują miejsca „rozżalonym" i „zrozpaczonym" dziewczętom. A kiedy przypadkiem spotkają się z celem swoich myśli i westchnień, za nic nie chcą pokazać, że ta dziewczyna budzi w nich szczególne zainteresowanie, może nawet sympatię.
Chłopaki, odwagi! Może ta dziewczyna czeka na to, aby ktoś się do niej uśmiechnął, powiedział parę słów. Może czeka na przyjaźń. Prawdziwą przyjazn, bez zbędnych słow i bez zbędnych gestów. Czyżby tak trudno było podejść do niej i szczerze porozmawiać?
Być może, ta dziewczyna nie jest taka bezlitosna jak się Wam na pierwszy rzut oka wydaje. Może przed otoczeniem ukrywa to swoje prawdziwe „ja" i otworzy je dopiero przed przyjacielem? A więc, odwagi!

Dorota

Przestać się bać

Chodzę do klasy VIII i wpadłem w złe towarzystwo. Wciągnął mnie w to chłopiec z naszej klasy, który pije, pali i każe nosić sobie teczkę. Po prostu zgrywa się. Osoba, która mu się sprzeciwi będzie pobita. Na dodatek każe do siebie mówić „Panie Żuczku" (od nazwiska Żukowski). Poradźcie, jak mam z tego wyjść. Proszę o wydrukowanie listu, może on go przeczyta i zmądrzeje.

Ósmoklasista"

Zmądrzeje dopiero wtedy, kiedy Ty i inni koledzy przestaniecie się go bać i spełniać jego „terrorystyczne" zachcianki. Wyjście z sytuacji jest jedno: przestać się bać. Musicie zbiorowo, solidarnie przeciwstawić się jego dyktaturze, wówczas straszenie pobiciem przestanie być groźne.

226 Giełda hobbistów

1. *Jolanta Ambroch*, lat 14, filatelistyka, haft, moda, pocztówki – ul. Pionierska 3/13, 11-400 Kętrzyn
2. *Magdalena Baksalary*, lat 13, geografia, numizmatyka, filatelistyka – ul. Grunwaldzka 110, 64-100 Leszno Wlkp.
3. *Joanna Baran*, lat 15, znaczki, naklejki, widokówki – 33-223 Zdziarzec 15
4. *Renata Bartkowiak*, lat 15, historia, jęz. angielski – ul. Michałowska 4/44, 60-645 Poznań
5. *Iwona Binko*, lat 13, konie, psy, książki – ul. Kościuszki 64/9, 42-500 Będzin
6. *Grzegorz Brandys*, lat 15, filatelistyka, piosenkarze – ul. J. Fika 16/18, B. Prądniki, 31-216 Kraków
7. *Mariola Cenkalik*, lat 13, historia, znaczki, książki – ul. Słoneczna 7, 44-235 Ornontowice
8. *Małgorzata Chmielewska*, lat 15, humor, taniec, muzyka, piosenki – Cwaliny, 18-520 Stawiski
9. *Agata Czarnecka*, lat 14, matematyka, muzyka rockowa, sport – Polanówka 2, 24-311 Rogów k. Puław
10. *Adam Ćwik*, lat 13, humor, znaczki, widokówki – ul. Żwirki i Wigury 9, 87-200 Wąbrzeźno
11. *Beata Dębosz*, lat 13, krawiectwo, moda, widokówki – ul. Zegadłowicza 39/16, 50-226 Wrocław
12. *Dorota Dobrowolska*, lat 13, geografia, fizyka, zoologia, muzyka – Gruszka 5, 26-050 Zagnańsk
13. *Edward Dondalski*, lat 15, filatelistyka, turystyka, muzyka – ul. Gw. Ludowej 107/5, 65-536 Zielona Góra
14. *Małgorzata Doniec*, lat 12, taniec, widokówki, książki przygodowe – 32-040 Świątniki Górne 304
15. *Marcin Doroba*, lat 14, akwarystyka, lotnictwo, II wojna światowa – ul. M. Ossowskiego 4/6, 91-089 Łódź
16. *Ewa Drahus*, lat 15, fizyka, elektronika, muzyka rockowa – Pl. Kossaka 3/1, 31-106 Krakow
17. *Joanna Dudek*, lat 14, wróżby, sennik, wiersze do pamiętnika – ul. Szkolna 3/19, 27-200 Starachowice
18. *Katarzyna Duljasz*, lat 15, widokówki, muzyka rockowa – Rozdroże, 13-100 Nidzica
19. *Jolanta Fedorowicz*, lat 13, filatelistyka, widokówki, serwetki papierowe – ul. Kościuszki 44, 55-205 Bystrzyca k. Oławy
20. *Dorota Filarowska*, lat 13, przepisy kulinarne, pocztówki – ul. Leśna 3, 55-205 Bystrzyca k. Oławy
21. *Edyta Gajewska*, lat 12, matematyka, filatelistyka, muzyka – ul. Krzewicza 11, 13-230 Lidzbark Wel.
22. *Leszek Gasiński*, lat 14, historia (Polska), matematyka, zoologia – ul. Lenina 28/57, 37-450 Stalowa Wola
23. *Katarzyna Gołuch*, lat 14, muzyka, filatelistyka – ul. Tetmajera 2/1, 86-300 Grudziądz
24. *Aleksandra Greficz*, lat 12, znaczki, wróżby, jęz. angielski – ul. Okrzei 3/14, 59-900 Zgorzelec
25. *Renata Grela*, lat 15, zielarstwo, widokówki, rysunki – ul. Zamoyskiego 5/3, 71-444 Szczecin
26. *Jacek Grzelak*, lat 15, tarcze szkolne, wróżby, widokówki – 32-632 Pisarzowice 13
27. *Hanna Jagielska*, lat 12, moda, muzyka, widokówki – ul. Graniczna 20a, 09-402 Płock
28. *Marek Janicki*, lat 14, filatelistyka, piłka nożna – ul. Brodzińskiego 18/4, 33-100 Tarnów
29. *Sylwia Jankowiak*, lat 12, znaczki, widokówki, piosenkarze – Os. Jana III Sobieskiego 4/24, 60-688 Poznań
30. *Sebastian Jarmołowicz*, lat 13, prospekty samochodowe, lotnictwo, żołnierzyki – ul. Kościuszki 7[b]/1, 66-500 Strzelce Krajeńskie
31. *Elżbieta Jasiak*, lat 13, geografia, filatelistyka, kajakarstwo – ul. Jagiellońska 22/15, 98-200 Sieradz
32. *Donia Jędryczka*, lat 13, przepisy kulinarne, muzyka, piosenkarze – ul. Wyzwolenia 38/1, 86-141 Lniano
33. *Marian Jurkowski*, lat 14, samochody, książki – Ostrowsko 136, 34-431 Waksmund
34. *Beata Kardasz*, lat 12, moda, naklejki, widokówki – ul. Urocza 1a/34, 11-400 Kętrzyn
35. *Agnieszka Kmieć*, lat 14, widokówki, znaczki, piosenki – Nasiegniewo, 87-612 Zaduszniki
36. *Anna Kostyniak*, lat 14, muzyka, widokówki, naklejki, piosenki – ul. Krasińskiego 4/10, 99-300 Kutno
37. *Barbara Kozlak*, lat 13, II wojna światowa, krzyżówki, łamigłówka, filatelistyka – ul. Gagarina 78/33, 42-550 Sosnowiec
38. *Marta Krysińska*, lat 12, motyle, znaczki, piosenkarze – ul. Główna 14, 51-180 Wrocław
39. *Jolanta Krzos*, lat 13, kalendarzyki, naklejki, widokówki – ul. Lenina 16/23, 37-450 Stalowa Wola
40. *Renata Kubik*, lat 15, poezja, przyroda, moda – PGR – Turmo, 22-246 Sosnowica
41. *Sylwia Kubina*, lat 12, historia, poezja, moda – ul. Partyzantów 26[B]/1, 47-220 Kędzierzyn-Koźle
42. *Zdzisław Kukla*, lat 14, muzyka rockowa, naklejki – 33-140 Lisia Góra 414
43. *Beata Kulej*, lat 13, sport, moda, filatelistyka – Kuleje 159, 42-134 Truskolasy
44. *Dorota Kulesza*, lat 15, proporczyki, karate, muzyka – ul. Sosnowa 26, 15-351 Białystok
45. *Piotr Kułak*, lat 14, prospekty, znaczki, widokówki – Zmiennica 66, 36-200 Brzozów
46. *Andrzej Kwapisz*, lat 14, geografia, historia, filatelistyka – ul. Parzęczewska 14, bl. 16/70, 95-100 Zgierz
47. *Beata Kwiatkowska*, lat 15, widokówki, poezja, wpisy do pamiętnika – ul. Kopernika 12/1, 64-920 Piła
48. *Agnieszka Ładosz*, lat 12, historia, konie, muzyka – ul. Ogólna 7/62, 01-702 Warszawa
49. *Elżbieta Lahutta*, lat 15, muzyka, książki, piosenkarze – ul. Głuszycka 44/9, 58-308 Wałbrzych
50. *Agata Lipińska*, lat 13, matematyka, jęz. angielski, konie – Os. Przyjaźni 12/243, 61-686 Poznań
51. *Małgorzata Mamos*, lat 13, filatelistyka, przepisy kulinarne – Wólka Dłużewska, 05-332 Sienniica
52. *Beata Markowska*, lat 15, geografia, jęz. francuski, naklejki – 24 Bismark Ave, N 2 H 5 S 7 Kitchener Ont, Canada
53. *Iwona Matiuszko*, lat 14, biologia, muzyka rockowa – 77-314 Barkowo
54. *Anna Matyjaszczyk*, lat 14, książki, znaczki, widokówki – ul. Manifestu Lipcowego 7/36, 20-620 Lublin
55. *Jadwiga Misiąg*, lat 12, widokówki, nalepki, znaczki – Budy Łańcuckie 107, 37-114 Białobrzegi
56. *Małgorzata Natarek*, lat 14, matematyka, medycyna, pocztówki (kwiaty) – Łęgowo 58, 62-100 Wągrowiec
57. *Mariola Niedźwiecka*, lat 14, znaczki, nalepki, piosenki – ul. Kraszewskiego 23a/46, 15-024 Białystok
58. *Ewa Nicgorska*, lat 14, muzyka, jęz. rosyjski, pocztówki – ul. Pokoju 61[A], 42-573 Będzin
59. *Agnieszka Nosek*, lat 13, zoologia, książki, piosenki – ul. Szczepanika 3/21, 33-100 Tarnów
60. *Ewa Ochęduszko*, lat 13, krawiectwo dla lalek, żurnale, moda – ul. Kolejowa 90/15, 22-100 Chełm
61. *Mariusz Ogrodowczyk*, lat 14, prospekty, humor, widokówki – ul. Marchlewskiego 4/53, 62-700 Turek
62. *Anna Olszewicz*, lat 12, biologia, filatelistyka, kosmos – ul. Olgierda 100[a], 81-584 Gdynia
63. *Beata Osuch*, lat 14, widokówki, naklejki, piosenki – ul. Wróblewskiego 6[B]/6, 72-010 Police
64. *Mariola Pawelec*, lat 13, pocztówki (kwiaty), znaczki, piosenkarze – 26-504 Wysoka 10, k. Radomia
65. *Celina Pawłowska*, lat 14, muzyka, zwierzęta, przepisy kulinarne – ul. Rybaki 16/1, 72-600 Świnoujście
66. *Irena Pieruk*, lat 13, poezja, sport, widokówki, znaczki – Os. 1000-lecia 37[a] 44-224 Knurów
67. *Beata Pilipczuk*, lat 14, jęz. niemiecki, widokówki, znaczki – ul. Katedralna 3a/22, 22-100 Chełm
68. *Anetta Pietrzak*, lat 13, zoologia, II wojna światowa, filatelistyka – Os. Kraju Rad 22[a]/6, 61-680 Poznań
69. *Małgorzata Piróg*, lat 15, muzyka, wróżby, piosenki – ul. Chrobrego 23/1, 02-479 Warszawa
70. *Anna Procka*, lat 13, poezja, przyroda, książki, piosenki – ul. Fabryczna 19, 26-940 Pionki
71. *Irena Proć*, lat 14, moda, wiersze do pamiętnika, piosenkarze – 11-606 Budry
72. *Agnieszka Przyjemska*, lat 12, matematyka, jęz. angielski, zespoły rockowe – ul. Mazowiecka 11/13 m 82, 97-200 Tomaszów Maz.
73. *Beata Rak*, lat 13, znaczki, pocztówki, widokówki – ul. Warszawska 196/42/12, 05-300 Mińsk Maz.
74. *Beata Rygasiewicz*, lat 13, karate, filatelistyka – ul. Rodziny Nalazków 15/19, 82-300 Elbląg
75. *Sławomir Rycerz*, lat 14, filatelistyka, wędkarstwo, II wojna światowa – Sitno, 87-200 Wąbrzeźno
76. *Katarzyna Ryncarz*, lat 13, poezja, moda, plastykowe zwierzątka – ul. Limanowskiego 8/3, 43-400 Cieszyn
77. *Elżbieta Rysz*, lat 12, historia starożytna, filatelistyka, moda – ul. Głowackiego 18, 38-500 Sanok
78. *Dorota Sawicka*, lat 12, dzbanuszki, maskotki, znaczki, widokówki – Ponętow Górny, 62-641 Olszówka
79. *Sławomir Siek*, lat 14, numizmatyka, filatelistyka, lekkoatletyka – 26-626 Mniszek 64
80. *Alicja Skopowska*, lat 12, znaczki, pocztówki, naklejki, piosenki – ul. Świerczewskiego 3/3, 56-100 Wołów
81. *Dominika Skrobała*, lat 14, zoologia, ornitologia, akwarystyka, wędkarstwo – Os. Kraju Rad 9/64, 61-674 Poznań
82. *Agnieszka Sosnowska*, lat 15, biologia, UFO, sport – ul. Kościuszki 4, 67-320 Małomice
83. *Jacek Sowa*, lat 15, geografia, biologia, turystyka, widokówki – Oś. 1000-lecia 34/50, 31-610 Kraków
84. *Dorota Stefanek*, lat 15, muzyka, sport, książki – ul. Dzierżyńskiego 1/39, 23-210 Kraśnik
85. *Lidia Szulc*, lat 12, znaczki, szydełkowanie, haft – ul. Dondajewskiego 33, 62-300 Września
86. *Iwona Szczepkowska*, lat 14, medycyna, chomiki, żółwie, muzyka – ul. Matejki 12[5]/39, 72-600 Świnoujście
87. *Maciej Szymanik*, lat 13, filatelistyka, widokówki, psy – ul. Kasowa, 93-173 Łódź
88. *Bożena Szyszko*, lat 14, muzyka rockowa, anegdoty, poezja – Pl. Dąbrowskiego 5/7, 76-200 Słupsk
89. *Lucyna Święs*, lat 14, znaczki, widokówki, wiersze – Brunary 116, 38-313 Śnietnica
90. *Ewa Trzupek*, lat 15, chemia, akwarystyka, zespół The Beatles – Os. XX-lecia 8/19, 34-100 Wadowice
91. *Elwira Udała*, lat 13, muzyka, filatelistyka, sport – Goszków, 74-133 Mieszkowice
92. *Hanna Wiekiińska*, lat 15, historia (Napoleon), piłka nożna – ul. Warynskiego 18, 59-901 Zgorzelec
93. *Agnieszka Wielb*, lat 14, stare kalendarze, horoskopy, piosenki – ul. Kołłątaja 27/16, 71-525 Szczecin
94. *Wioletta Wójcik*, lat 14, filatelistyka, widokówki, piosenki – ul. Polna 4[b]/15, 26-200 Końskie
95. *Katarzyna Wróblewska*, lat 13, Indianie, geografia, pocztówki (zwierzęta) – ul. Węgierska 11/2, 30-535 Kraków
96. *Beata Zalewska*, lat 14, biologia, poezja, pocztówki – ul. PPR 34/12, 41-605 Świętochłowice
97. *Danuta Zdunkiewicz*, lat 12, matematyka, muzyka, filatelistyka – ul. Siemiątkowskiego 1, 06-540 Radzonów
98. *Izabella Ziemba*, lat 15, chemia, astronomia, muzyka elektroniczna – Białowieska 23/28, 54-234 Wrocław
99. *Ewa Ziołońska*, lat 13, muzyka, moda, piosenki – Al. Wyzwolenia 11a/126, 95-070 Aleksandrów Łódzki
100. *Anna Zychalak*, lat 14, biologia, jęz. polski – Michalinek, 09-141 Szczytno k. Płonska

Prenumerata na rok 1983

CENA PRENUMERATY:

kwartalnie	– 72 zł
półrocznie	– 144 zł
rocznie	– 288 zł

WARUNKI PRENUMERATY:

● **dla prenumeratorów indywidualnych:**
– osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
– osoby zamieszkałe w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych przy użyciu „blankietu wpłaty", na rachunek bankowy Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw w Warszawie, ul. Towarowa 28, nr konta NBP XV Oddział w Warszawie, Nr 1153-201045-139-11.

● **dla instytucji i zakładów pracy:**
– instytucje i zakłady pracy w miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", zamawiają prenumeratę bezpośrednio w tych oddziałach;
– instytucje i zakłady pracy w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

● Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

METRYKA NUMERU
Dwutygodnik dla młodzieży
10 grudnia 1982 – Warszawa
Skład techniką fotoskładu
oraz druk wykonały
Zakłady Graficzne
„Dom Słowa Polskiego"
w Warszawie.
Nakład 250 300 egz.
Zamówienie nr 4879/CD Z-39
ADRES REDAKCJI
00-950 Warszawa
ul. Spasowskiego 4
skrytka poczt. 380
INDEKS: 36876

MODA W SZKOLE

ELŻBIETA MONIKA MAŁKOWSKA

Niedawno otrzymany list jednej z czyteiniczek uświadomił mi, że nigdy nie poruszam tematu tzw. mody szkolnej. Moje propozycje dotyczą ubiorów noszonych poza murami szkoły. Po prostu myślałam, że sprawa nie istnieje. Bo wiadomo, mundurki przestały być obowiązującym rygorem, a i fartuchy nie są już przymusowym szkolnym przyodziewkiem, przynajmniej na szczeblu licealnym. Tymczasem list czytelniczki ujawnił, że TO właśnie jest problem – ów brak narzuconego odgórnie szkolnego stroju.

Ja sama jestem zaprzysięgłą przeciwniczką mundurowania kogokolwiek, poza wykonawcami zawodów z mundurami tradycyjnie i z uzasadnionych powodów związanymi. Uważam, że każdy, kogo wiek predestynuje do podejmowania niektórych decyzji dotyczących siebie samego, w tym także swego wyglądu, taki ktoś powinien wybrać i nosić to, w czym najlepiej się czuje i w czym może się swobodnie poruszać. Dopóki to ubranie nie szokuje ekstrawagancją, pozostaje w zgodzie z wymaganiami sytuacyjnymi, tudzież nie grozi nabawieniem się żadnych chorób, interwencje ze strony starszych są, moim zdaniem, zbędne.

Każdy w miarę rozsądny osobnik, liczący więcej niż siedem lat wie, że szkoła to nie rewia mody, ale obowiązuje tu schludny i estetyczny wygląd, względy praktyczne zaś dyktują fasony i kolorystykę ubrań. Nie muszę chyba przypominać, jak fatalny wpływ na stosunki międzykoleżeńskie ma popisywanie się finansowymi możliwościami rodziców, manifestowanymi w strojach, których ceny przyprawiają o zawrót głowy nie tylko uboższych, lecz też zdrowiej myślących kolegów.

Jako obowiązujące powinniście uznać takie oto cechy szkolnego przyodziewku: prostotę, skromność, wygodę i, mimo wszystko, urodę. Na szczęście, powyższymi zaletami charakteryzują się niektóre wzory aktualnie proponowane przez modę. Co więcej, pojawiają się fasony ubrań nawiązujące do klasycznej szkolnej mody. Np. proponowana przez francuskich projektantów mody długa bluza, przypominająca trochę szkolny fartuch, rozpinana z przodu, z kieszonkami, ozdobiona białym kołnierzykiem i białymi mankietami (z tych ostatnich można spokojnie zrezygnować). Znakomita jako szkolny strój jest również sukienka-bezrękawnik, prosta, krótka, zapinana z tyłu lub na ramionach, noszona na bluzki czy sweterki. Zaczęły znów być modne plisowane i układane krótkie spódniczki, w zestawieniu z dużą bluzą treningową lub swetrem stanowią one niezły strój szkolny. Niegasnący szał spodniowy poparty względami praktycznymi (brak rajstop!) oraz wymogami klimatu sprawia, że w szkolnej garderobie prym wieść będą wszelkie odmiany spodni. Obok klasycznych dżinsów, tych szerszych i tych rurkowatych, noszonych z bluzami, swetrzyskami i koszulami, nie należy zapominać o ogrodniczkach ze sporą liczbą kieszeni na mnóstwo niezbędnych w szkole szpargałów, ogrodniczkach tak obszernych, że bez trudu mieszczą się w nich najgrubsze nawet koszule. Przypominam też o spódnico-spodniach i pumpach, mogących z powodzeniem uchodzić za wygodny strój szkolny, byle były uszyte z odpowiedniego materiału. Właściwie tu jest sedno problemu, bowiem obecna moda raczej nie tylko lansuje fasony ubrań, ale i rodzaje materiałów, z jakich są one wykonane. Na pewno połyskliwe materiały nie wchodzą w rachubę jako materiał na stroje do szkoły, za to znakomicie tu pasują teksasy, płótna, wełny, elano-bawełny, wszystko raczej gładkie, bez wzorków, utrzymane w ciemnej kolorystyce. Nie macie co się boczyć na ciemne tonacje – są najmodniejsze, a ozdobione bielą akcentów – bardzo twarzowe. Najpopularniejszymi obecnie kolorami są różne odcienie szarości oraz czernie. Granat dżinsowy zawsze był, jest i będzie modny, i na szczęście niemal każdy dobrze w nim wygląda. Nawet w szkole.

CENA 12 zł